



okruchy
wielkiej
skiby



5
duszyczki
po 10 centów 8



Łomża
o Łomży



KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY PISMO PZPR

PL ISSN 0208 6840

37

(361)

KONTAKTY
1987-09-13

cena
20 zł

ZOSTAWIĆ WSZYSTKO I LECIEĆ

ALICJA NIEDŹWIECKA

MAŻ NIBY TAKI SAM,
A JEDNAK INNY

„Łomża jest blisko Ameryki” — śmieją się. Wiedzą dokładnie, co tam się dzieje: kto zmarł od tej roboty nad siły („od tej pazerności” — mówią wprost), a kto się urodził niespodziewanie. Wolą być anonimowi, nierozpoznani: „Nie mam nic do ukrycia, ale...”, „Zgoda, tylko żeby nikt się nie dowiedział”, „Dobrze, ale bez nazwiska i adresu; ludzie tu są tacy, że...”

W wyjazdach celują: Łomża, Zambrów, Grajewo, Jedwabne, a z gmin: Kobylin Borzymy, Trzcianna, Radziłów. Co wynika, zdaniem władz, z tego bogactwa dla ogółu?

— Powstają całe osiedla „amerykańskich” domów. To odciąża budownictwo spółdzielcze. Rosną też ciągi pawilonów handlowych, rozwijają się usługi, rzemiosło.

— Kadra ucieka, a potem nie chce już tu pracować.

— Wynikają straty społeczne trudne do przewidzenia. Jakimi obywatelami będą te ich „dolarowe” dzieci?

Mówią właściciele kont:

— Chcę zbudować pawilon usługowy. Od siedmiu lat staram się o działkę.

— Machnąłem ręką. Nic nie robię z tymi pieniędzmi. Miałem pomysł na małą gastronomię.

— Otworzę sklepik. Mogłbym dom towarowy; byłoby tam wszystko.

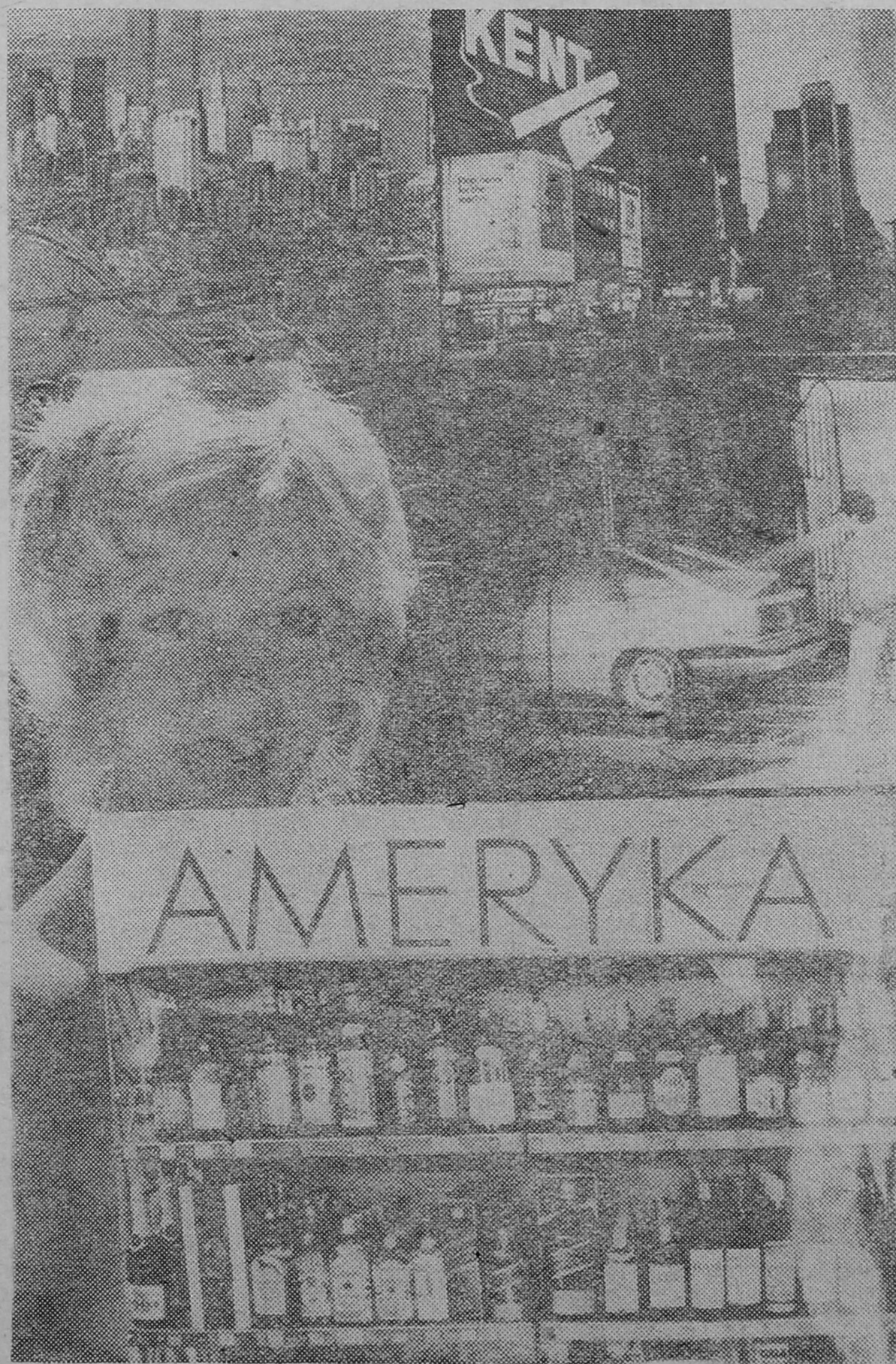
Mówią ci, co nie mają szans na wyjazd:

— Podziały wynikają. Tam, za godzinę pracy, osiem dolarów, tutaj mógłbym żyć przez tydzień. Na jakim świecie żyjemy?

— Co mam powiedzieć synowi? Tamten chłopak ma komputer, a on musiał zarobić na kieszonkowe na plantacji truskawek.

„Kochana Zono. Mieszkam z kolegą z Grajewa, jest niezłe. Ale ogarnia mnie taka tęsknota, że chciałbym w jednej chwili zostawić wszystko i do Was lecieć. A czas wlecie się powoli. Koledzy są poradni i wiedzą po co przyjechali. Ale nie brakuje i patulstwa. Przyjeżdżają i tworzą amerykańskie małżeństwa. Prowadzą życie bez troski i rozrywkowe”

Najlepiej placące (do 60 000 złotych) przedsiębiorstwo w województwie to Łomżyńskie Zakłady Spożywcze — Spółdzielnia Pracy. Przychodzą tu najlepsi, nieraz porzucając pracę w innych zakładach. Najbardziej operatywni po jakimś czasie mówią: mało. Jadą do Ameryki. Rocznie ubywa ok. 10 proc. (przy 230-osobowej załodze). Teraz prezes oferuje już i mieszkania, ale jaką ma gwarancję, że to kogoś zatrzyma?



Fot. GABOR LÖRINCZY

W najniższej placującym Przedsiębiorstwie Przemysłu Spożywczego (średnia 22 000 złotych) roczna rotacja przy 1100 pracowników dochodzi i do 50 proc.

„Najdroższa Zono. Pracujemy teraz z kolegą u bossa Polaka. Jak Polak zostaje bossem, szybko chce zostać milionerem i bez litości wykorzystuje Polaków. Jak przyjechał do niego brat, to musiał się wyprowadzić, chociaż boss ma duży dom. Traktuje nas jak niewolników i pędzi do roboty. Postanowił odejść. Jak się o tym dowiedział, to o mało nie dostał zawału. Robi wszelkie starania, by uniemożliwić nam od „ście. Zaproponował nam nawet dużą podwyżkę, nikt z jego pracowników takiej nie pamięta. Mamy go dosyć.”

Dokładnie orientują się, co się tam dzieje. Jola (od pięciu lat sama, dwoje dzieci w wieku 7 i 9 lat) wie, że:

■ najpierw się bardzo tęskni (— Kolega wrócił po dwóch miesiącach, chociaż cała rodzina prosiła: zostań chociaż do grudnia);

■ potem liczy się zarobione pieniądze i tak zatłukuje tę tęsknotę (— Gorzej, jak to liczenie przeniesie ktoś na Polskę. Adam wylicza żonie każdą złotówkę, bo ona „nie zna się na pieniądzach”);

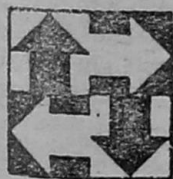
■ gdy ma się już dosyć dolarów, szybko powinno się wrócić, bo potem następuje okres „szajby”: człowiek zaczyna się czuć Amerykaninem i wydawać, a nie oszczędzać, i żeby mieć za co wrócić, musi przedłużyć pobyt. Może się też związać z Amerykanką albo „amerykanką” taką jak on, dlatego trzeba czuwać, by wrócił po dwóch latach.

Stan kont w Łomżyńskim jest większy niż wpływy z wojewódzkiego eksportu. To najbardziej województwo na bogatszych ludzi ma jedną z najniższych średnich płac krajowych, prawie najgorsze gleby, najtrudniejsze warunki produkcji rolniczej. Wśród dziesiątków braków na dotkliwsze dotyczą śpiących się ze starości domów, dostatków telefonów. Brakują pieniądze na remonty wykonawców, materiałów itd.

Mąż Joli (— Złe było między nami od początku), „motylek”, poznał tutaj na dancingu Amerykankę. Przyjechała do rodziny i wydała bankiet dla krewniaków z całej wsi. Spodobał się jej, obiecała przysłać zaproszenie. Przysłała. Właśnie zaczęli remont swego pięknego mieszkania. Za trzy dni on już był gotów do odjazdu.

Najpierw były paczki (denerwowała się, po co kupuje takie dro-

CIĄG DALSZY NA STR. 7



W następnym numerze:

Cała prawda o Mirosławie i Edmundzie Sarnach, czyli „Donos” * **„Czy minister ma rację?”** * **wrócić — nie wrócić, czyli „Łomżyńskie Dolorado”** * **„Punkt na młynie drzazga”** * **historia mniej znana, czyli „Epizody szumowskie”**.

ŻNIWNY MELDUNEK. W ubiegłym tygodniu znów pojawiły się kolejni ciagniki z ziarnem przed magazynami Państwowych Zakładów Zbożowych. To dobry znak: żniwa trwają. Jeśli nie stanie na przeszkodzie zła pogoda, do końca tego tygodnia zostaną zakończone (dotychczas skoszone 90 proc. z powierzchni obsianego arealu). W magazynach jest już ok. 30 tys. ton ziarna (w ubiegłym roku, w tym samym czasie, było ok. 42 tys. ton).

ŁOMŻYŃSKI WRZESIEŃ: z okazji rocznicy wyzwolenia miasta, święta „Gazety Współczesnej” i dożynek — impreza goni imprezę. Kolejnym z zaprzyjaźnionej redakcji gratulujemy przyznania Orderu Sztandaru Pracy II klasy. 6 bm. odbył się rajd samochodowy o puchar naczelnego redaktora „Gazety” (zwyciężyli Jolanta i Kazimierz Półtorakowie) oraz finał IV Letnich Igrzysk Młodzieży ZSMP, a przedsiębiorstwa handlowe zorganizowały Jarmark Nadnarwiański.

JAKO CZYNNY ZAWODNIK ostatni raz grałem 15 lat temu — zwierza się w wywiadzie dla „Gazety Współczesnej” I sekretarz KW, Mieczysław Czerniawski. — Teraz

z piłką na łączce przebywam bardzo często, z synem. Zawsze na boisku byłem bramkarzem, dziś także spełniam podobną rolę, aczkolwiek bramka jest szeroka i bardzo trudno mi wylapać wszystkie strzały. W tym samym wywiadzie dużo o krytyce prasowej („GW” z 4 września).

KWATAMI ZŁOŻONYMI w miejscach pamięci narodowej uczcili mieszkańcy województwa 48 rocznicę wybuchu II wojny światowej. W Kolnie odbyła się pokojowa manifestacja, poprzedzona przemarszem delegacji szkół i zakładów pracy przez miasto.

KOLEJNE GOSPODARSKIE wizyty w terenie: 10 bm. sekretarz KW Mieczysław Brzeziński odwiedza Bogutę, a sekretarz Marian Kościw i wicewojewoda Eugeniusz Mióduszwski — Zareby Kościelne. Interesują się pracami w rolnictwie, polityką kadrową w przedsiębiorstwach, instytucjach i administracji, sprawami partyjnymi; spotykają się z mieszkańcami i przyjmują interesantów.

CO Z WINOGRONAMI? W ostatnim „Zdarzeniach” („Kontakty” nr 36) or. Ikowo poinformowaliśmy, że Wojewódzka Spółdzielnia Ogrodnictwa-Pszczelarstwa dostarczała do łomżyńskich sklepów 11 ton winogron. Owoce rzeczywiście były, lecz sprowadził je nie WSOP, tylko Łomżyńskie Zakłady Spożywcze.

ENERGETYCZY ŁOMŻYŃSCY obchodzą jubileusz 70-lecia. W kwietniu 1917 r. ruszyła w miejsce pierwsza elektrownia; prąd używany do oświetlania mieszkań w mieście od zmroku do drugiego w nocy wytwarzały dwie lokomobile o sile 135 KM. Dziś Rejon Energetyczny w Łomży sprawuje opiekę nad 48 tys. km linii napowietrznej, 241 km —

kablowej, setkami stacji transformatorowych. Zasłużeni pracownicy uhonorowani zostali odznaczeniami: Edward Maj — Krzyżem Kawalerskim OOP, Jerzy Koluśniewski i Mieczysław Przybyłowski — Srebrnymi Krzyżami Zasługi, Sławomir Sobociński — Brązowym. Rejon Energetyczny otrzymał odznakę „Za Zasługi dla Województwa Łomżyńskiego”. O energetykach również w naszym komentarzu niżej.

„ŚWIĘTO MUZYKI I TANCA” proponuje mieszkańcom Łomży w dniach 11—13 września (najbliższy weekend) Miejski Dom Kultury — Dom Środowisk Twórczych. Liczne i różnorodne imprezy trwać będą od wczesnych godzin przedpołudniowych do wieczora. Główne miejsca akcji: plac Żeglarski (występy zespołów dziecięcych), galeria „Pod Arkadami” (projekcje video filmów muzycznych: „Jesus Christ Superstar” i „Yentle”, prezentacja magnetofonowych zapisów koncertów wielkich gwiazd: Milesa Davisa, Leda Ze elina, zespołu „Dire Straits” i innych), muszla na Zjeździe (koncerty zespołów), kino „Milenium”, Szkoła Podstawowa nr 1. Dokładne terminy imprez i inne szczegóły — na plakatach.

SLYNNI KRAJANIE W ŁOMŻY. Z inicjatywy Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej odwiedzają nasze miasto znane osobistości związane z tym regionem: dziennikarka telewizyjna Halina Miroszowa, pisarz Józef Stompor i Włodzisław Sekorski, prof. Zdzisław Wilhelm — światowej sławy fizyk, doc. dr Sylwester Jakubowski — lekarz ortopeda. („Kontakty” wkrótce rozpoczyna prezentację na naszych łamach honorowych obywateli miasta).

PUNKT WIDZENIA

dziecinne uwagi

Kilkanaście grup młodzieży z naszego województwa w czasie wakacji przebywało w NRD, głównie w okręgu Karl-Marx-Stadt. Oto jakie refleksje nasunęły mi się po powrocie. Mimo że przed wyjazdem rodzice byli uczulani przez kogoś, że by nie traktowali „handlowo” pobytu na granicy swych pociech, na porządku dziennym było wyposażanie dzieci w wiklinowe koszyczki (notabene: „targane” w powrocie do Polski), kosmetyki, plastikową biżuterię itp. Do tego dołączali zawsze listę „co” i „dla kogo”. Już od pierwszych dni pobytu w NRD dzieci — z listą w jednej, a torbą z „towarami wymiennymi” w drugiej ręce — szły do miasta na zakupy. Ilości nabywanej żelazny, liści bobkowych czy pierzu przekraczały potrzeby domowe.

O zachowaniu się tych dzieci w sklepach lepiej nie wspominać. Dochodziło do tego, że rzucały się na półki (żeby zgarnąć dla siebie całą zawartość), przewracając je. Ograniczały sobie czekoladę, lody, napoje, żeby wszystko z listy zawieźć do domu.

Następny problem — wyposażenie dzieci. Prawie żaden z chłopców nie miał kapei, piżamy, dresów (mogłoby być sobie kupić, gdyby nie musieli robić zaopatrzenia dla domu i „żeby się to chociaż zwróciło”), tenisówek, stroju sportowego. O pomstę wołał stan ich higieny. Nie wszystkie miały dwa ręczniki, nie wszystkie mamy sprawdziły czystość gówek, uszu, paznokci. W kraju tak dbającym o higienę, jak NRD, brud jest niewybaczalny.

Choć niektórym te uwagi wydają się może dziecinne, licząc na chwilę refleksji.

KOLONISTKA B.B.

zaprosili nas

Izba Rzemieślnicza w Białymstoku oraz Kuratorium Oświaty i Wychowania w Suwałkach — na uroczystość przekazania Szkoły Podstawowej w Kaletnikach (gm. Szypiszki, woj. suwalskie).

z przyjaznych szpalt

Florian Goch pisze na łamach „Chłopskiej Drogi” (nr 30) o rzemieślniczych wiejskich punktach usług mechanizacyjnych w województwie łomżyńskim. Oto niektóre fragmenty:

„W województwie łomżyńskim rolnicy indywidualni dysponują pokatnym taborem maszyn i narzędzi rolniczych: mają 23 000 ciągników (średnio 1 na 19 ha użytków rolnych), 9700 koparek elewatorowych, 2270 kosiarek rotacyjnych, 640 kombajnów ziemniaczanych i 337 — zbożowych. [...] Produkcję rolniczą, ciesząc się autorytetem w swoim środowisku, zaproponowali stworzenie wiejskich punktów usług mechanicznych. Zorganizowane je według zasad rzemieślniczych. [...] Łomżyńskie punkty usług mechanicznych pracują pełną parą. Posiadają, między innymi, 1700 ciągników, 120 kosiarek rotacyjnych, 107 roztrzaskaczy, 106 koparek elewatorowych, 94 snopowiązałki, 72 opryskiwacze, 39 kombajnów zbożowych oraz 36 pras do sprzętu słomy. Ceny za usługi są umiarkowane i, jak stwierdzono na podstawie zeszłorocznych prac, zbliżone do cen pobieranych przez SKR-y. Według ostatniej ankiety, przeprowadzonej przez zespół, w skład którego weszli przedstawiciele Komitetu Wojewódzkiego i Wydziału Rolnictwa, Leśnictwa i Gospodarki Żywnościowej Urzędu Wojewódzkiego, około 40 proc. rolników korzystających z usług tych punktów uznają, że pobierane ceny są wyższe nie więcej niż 20 proc. od SKR-owskich, 40 — że są na tym samym poziomie, a 10 — że są niższe. Wszyscy rolnicy objęci ankietą stwierdzili również, że praca tych punktów jest zadowalająca, terminowa i że są w pełni zadowoleni z wykonywanych usług. Dobra to opinia, zachęcająca do jeszcze lepszego działania i zapowiadająca zwiększenie zamówień.”

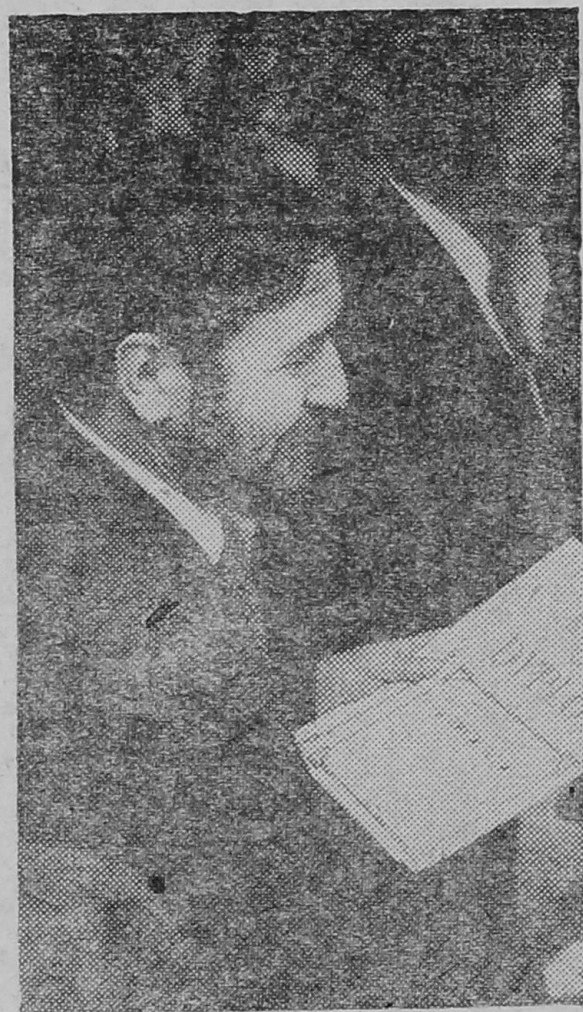
personalia

GRZEGORZ FLEJTER wybrany został przez Plenum KM PZPR w Łomży na I sekretarza KM.

Urodził się 30 listopada 1946 r. w Różanej (woj. bydgoskie) w rodzinie inteligentnej. Jest absolwentem Wyższej Szkoły Ekonomicznej we Wrocławiu; studiował też w Instytucie Nauk Politycznych Uniwersytetu im. Bolesława Bieruty. Związany był ze studenckim środowiskiem dziennikarskim (red. naczelny „Konfrontacji”), przewodniczył radom uczelnianym ZSP i ZMW, działał w Towarzystwie Rozwoju Ziemi Zachodnich i innych organizacjach społecznych. Pierwszą pracę rozpoczął w Radzie Okręgowej ZSP we Wrocławiu. Od 1975 roku jest mieszkańcem Łomży i pracownikiem Komitetu Wojewódzkiego PZPR na stanowiskach kierowniczych (kolejno): w Wydziale Ekonomicznym, Ideologii i Informacji, a ostatnio w Wydziale Organizacji Pracy. Od początku istnienia PRON-u uczestniczył w pracach tego ruchu (członek Rady Krajowej); jest inicjatorem Narodowego Czynu Pomocy Szkole w woj. łomżyńskim (członek Komitetu Krajowego i przewodniczący Komitetu Wojewódzkiego NCzPSZ). Ma żonę-dziennikarkę i dwoje dzieci.

na gorąco

Łomżyńskiej energetyce stuknęła siedemdziesiątka. Ściśle rzecz biorąc — nie jest to energetyka w pełnym tego słowa znaczeniu: Rejon Energetyczny Łomża sam prądu nie produkuje. Zajmuje się przesyłaniem, rozdzielaniem i sprzedażą energii elektrycznej oraz eksploatacją urządzeń powierzonych jego pieczy. Chodzi tu o słupy, linie przesyłowe, stacje transformatorowe, lampy o-



Przedwojenny burmistrz, Władysław Swiderski, wspomina w swojej monografii, że od abonentów posiadających liczniki pobierano 1 złoty 10 groszy, od pozostałych zaś — 30 groszy od żarówki. Kasa miejska zarobiła na tym (wtedy jeszcze na energetyce zarabiano) 32 304 zł 29 groszy. Tempo budowy i wyniki ekonomiczne rzeczywiście godne pozazdroszczenia, pamiętajmy jednak, iż elektrownia była niewielka i dość prymitywna. W roku 1939 jej moc wynosiła 720 kW, a zatrudniała 18 osób. Jej oddziaływanie ograniczało się do samej Łomży. W Jedwabnem,

zdanie tygodnia

— Z przyczyn niezupełnie dla mnie zrozumiałych przemilcza się fakt, że odsetki od kredytów zagranicznych pochłaniają ok. 5-6 proc. dochodu narodowego, podczas gdy w latach 1936-37, kiedy 40 proc. majątku spółek akcyjnych w Polsce należało do kapitału obcego, kapitał ten pobierał z Polski dochody nie przekraczające 1 proc. dochodu narodowego.

Prof. Stanisław Polaczek

myśl z atestem

„Wyzwolona siła atomu zmienia wszystko — poza naszym sposobem myślenia.”

Albert Einstein

duże przedsiębiorstwa, jak Kombinat Włazna czy Zakłady Płyt Włókowych w Grajewie. Wcześniej, w maju 1948, podłączono Łomżę do elektrowni białostockiej i łomżyńska „staruszka” powoli traciła swoje znaczenie; pracowała tylko w godzinach szczytu, wspomagając bardziej nowoczesną następczynię.

Dziś Rejon Energetyczny zaspokaja potrzeby 200 000 mieszkańców województwa na 60 proc. jego powierzchni. Nie omijają go również codzienne kłopoty naszych czasów, których skutki przeciętny odbiorca odczuwa na własnej skórze w po-

siedemdziesiąty stopień zasilania

świetlenia ulicznego. Kiedyś pracowała tu jednak prawdziwa elektrownia.

Dokładnie 15 września 1916 roku Rada Miejska w Łomży zatwierdziła plan budowy elektrowni komunalnej. Miała kosztować 200 000 marek. Pieniądże zebrano, własnymi siłami postawiono halę, a instalację urządzeń powierzono berlińskiej firmie Siemens i Schuckert. Od chwili podjęcia decyzji do uruchomienia minęło 7 miesięcy.

Stawiskach i Kolnie z dobrodziejstw elektryczności — wytwarzanej przez miejscowe młyny — korzystali tylko nieliczni mieszkańcy, i to tylko przez kilka godzin na dobę. Do wybuchu II wojny światowej żadna wieś naszego regionu nie została zelektryfikowana.

Deprowadzanie światła na wieś rozpoczęło się dopiero w 1951 roku od Dzierżbni, Wścieklic, Kalinowa i Drozdowa. Z czasem przybywało też i innych odbiorców; powstawały

stacji awaryjnych wylaczeń. Przede wszystkim ma skąpo wydzielane środki: limitowane paliwa, zatrudnienie, kredyty. 40 proc. urządzeń uznano za wyeksploatowane — wymagają pilnych remontów.

Zbliża się jesienno-zimowy szczyt energetyczny; pracownicy Rejonu mówią, że będzie on wyjątkowo trudny, zresztą od dawna nie ma już u nas szczytów łatwych. Nie wszystko zależy od ofiarności energetyków. (jon)



CUCHNĄCY PROBLEM

Gdzie wyrzucać śmieci? Oczywiście, na śmietnik. A jak go nie ma? Dużo jeszcze wody w Narwi i Biebrzy upłynie, zanim wszystkie sołectwa w naszym województwie „dorobią się” owych śmietników. Tymczasem problem: „Co robić z odpadkami?” — z roku na rok staje się coraz bardziej palący właśnie na wsiach. Świadczy o tym całe hektary zdewastowanych lasów, dzikie wysypiska przy drogach, cuchnące kupy w sielskim pejzażu. W województwie opracowano wprawdzie „Program budowy gminnych i wiejskich wysypisk śmieci”, ale zamiary sobie, a życie sobie. „Trzeba za tym chodzić, to będą efekty” — twierdzi Halina Grądzka, inspektorka ds. ochrony środowiska w Urzędzie Gminy w Rutkach. W gminie tej w ciągu trzech lat we wszystkich prawie sołectwach wyznaczone zostały miejsca na śmieci. Są to stare wyrobiska i inne nieużytki. Przedsięwzięcie wymagało wielu starań, ale innej drogi nie ma. W przeciwnym razie udławimy się własnymi odpadami. (mak)



z bocznych tras

MODZELE STARE (gm. Łomża). We wsi sensacja goni sensację. Przed kilkoma dniami dokonano zbrodni w rodzinie, ale to temat na inną okazję. Natomiast teraz: konflikt między zlewniarkami.

Przez kilkanaście lat punkt skupu mleka prowadziła we wsi Celina Gwardiak. W ub.r. odeszła na urlop macierzyński; najpierw na trzy miesiące, później — do końca września. Mleczarnia podpisała umowę na prowadzenie punktu z Haliną Wierzbowską. Konflikt między zlewniarkami rozgorzał wiosną tego roku, kiedy do pracy wróciła Celina Gwardiak. Zaczęło się od pisania anonimów. Mleczarnia próbowała rozwiązać problem zlecając prowadzenie punktu przez pierwsze pół miesiąca jednej zlewniarczy, przez następne dwa tygodnie — drugiej. Ostatnio Celina Gwardiak otrzymała wypowiedzenie.

Zbigniew Kalinowski, prezes OSM w Piątnicy, wypowiedzenie umowy uzasadnia tym, że mleczarnia nie stała na zatrudnienie dwóch zlewniarek w jednym punkcie. Wybrała Halinę Wierzbowską, ponieważ — w ocenie kierownika działu skupu mleczarni — lepiej wywiązuje się z obowiązków.

Przypadkowo spotkani mieszkańcy Modeli umiejętności obu zlewniarek oceniają podobnie: „Jakie było mleko, taka ocena”. Ale nie pochwalały decyzji mleczarni. Jeśli Celina Gwardiak pracowała źle, należało zwolnić ją wcześniej. Poza tym decyzja zwolnienia i przyjęcia zlewniarki powinna być uzgodniona z mieszkańcami wsi.

— Jeśli prezes mleczarni obawiał się, że zebranie doprowadzi do skłócenia mieszkańców wsi, należało na zlewniarkę głosować tajnie — radzi Henryk Zalewski. Sotysuje prawie trzydzieści lat i wie, jak takie problemy rozwiązywać. Ale nikt go o radę nie poprosił.

PECHRATKA (gm. Szumowo). Pięknie dojrzewają kłosa na pszenicznym i jęczmiennym polu Eugeniusza Bednarczyka. Równie dorodny jest osot. Nie powinien tam rosnać: przecież rolnik zapłacił eskaerowi w Szumowie 4323 złote za opryskanie pół środkami chwastobójczymi.

— Chciałem machnąć na to ręką. Po co chodzić na skargę, szukać sobie wrogów. Myślałem: zanim osot dojrzeje, skoszę zasiewy kombajnem, ale Spółdzielnia odmówiła mi przysłania maszyny. Kierownik służby rolnej postraszył mnie skierowaniem sprawy do kolegium za to, że nasiona chwastów wiatr rozsiewa po polach sąsiadów. Napisałem skargę na SKR, czekam na komisję, która stwierdzi, że pracownik SKR-u źle wykonał opryski.

Andrzej Woliński, prezes SKR-u w Szumowie, ani myśli posyłać kombajna do Bednarczyka: — To kłopotliwy usługobiorca. Należności musieliśmy ścigać sądowo. Rada Nadzorcza Spółdzielni uchwaliła, że usługi dłużników należy wykony-

wać w ostatniej kolejności. Jeśli rolnik był niezadowolony z jakości usługi, powinien wnieść reklamację w ciągu 14 dni.

Kłopoty Eugeniusza Bednarczyka nie są w Pęchraćce wyjątkiem: — Dlaczego nikt nie sprawdza jakości wykonanych usług — pyta jeden z rolników. — Powinien kontrolować to ktoś z SKR-u albo służba rolna. Przecież rolnicy ciągle czapkują w SKR-ze i nie rzecznictwo im tam zanoszą skargi.

Są już tacy, którzy proponują, aby za źle wykonane usługi skarżyć Spółdzielnię do sądu. Tylko kto pierwszy ośmieli się postawić przed prawem monopolistę?

PIENKI ŻAKI (gm. Andrzejewo). Ze wsi do Czyżewa jeździ się po paliwo do CPN-u i na stację kolejową. Można dotrzeć tam przez Andrzejewo albo trzykrotnie krótszą drogą — przez Dmochy Wochy — której stan jest taki, że z ledwością przejeżdża ciągnik. Mieszkańcy wsi w czynnie społecznym wykonali 600-metrowy odcinek nowej nawierzchni. Dalej zaczyna się już gmina Czyżew. Więcej nie są w stanie sami zrobić; konieczna jest pomoc. Przepisy zabraniają naczelnikowi Andrzejewa przeznaczyć pieniądze na budowę drogi w innej gminie. Czyżewianie nie są budową zainteresowani, bo niewielu z nich korzystałoby z niej. Na dodatek z granicami gmin pokrywa się zasięg działania rejonów drogowych w Wysokim Mazowieckiem i Zambrowie. Rozwiązania problemu nie ułatwia fakt, że jest to droga kategorii wojewódzkiej. Rozwikłanie sprawy komplikuje konieczność wyłączenia na poszerzenie pasa drogowego. Jest to zadanie niewdzięczne, ale w tej sytuacji — konieczne.

GARDLIN (gm. Zambrow). — Na oborze przybywa tablic jak na budynku urzędowym. Czy to biurokracja, czy są z tego konkretne korzyści?

Józef Jalbrzykowski: — Tablice informują o tym, że prowadzę gospodarstwo specjalizujące się w produkcji mleka. Obora znajduje się pod oceną użytkowości bydła Stacji Unasienniania i Hodowli Zwierzząt. Dzięki temu na aukcjach otrzymuję za cielęta niemal dwukrotnie wyższe ceny niż przy sprzedaży na rzeź.

— Czy opłaca się być specjalistą rolniczym?

— Pieniądzy z tego wielkich nie ma, bo zysk pochłaniają inwestycje. Trzyma mnie zamiłowanie do hodowli. A żona w gospodarstwie nabawiła się nerwicy.

— Co jest teraz najbardziej dekurwujące w rolnictwie?

— Przydziały środków do produkcji rolnej, np. w ub.r. dysponowałem 10 tonami nawozów azotowych; a tego, zgodnie z przydziałem, będę mógł wykupić niecałe 5. Nie ma mowy o intensywniej uprawie łąk i pastwisk. Oznacza to, że w oborze bkdzie luźniej. (W.K.)

O nadziejach i rozczarowaniach związanych z pracą społeczną na wsi — z **MARKIEM SZYMAŃSKIM**, rolnikiem, przewodniczącym Gminnej Rady Narodowej w Grabowie — rozmawia **JAN ONISZCZUK**.

JAN ONISZCZUK: — W wieku 32 lat jest Pan już znany jako wyróżniający się działacz społeczny, i to nie tylko na wsi. Działalność Pan z konieczności czy potrzeby?

MARKUSZ SZYMAŃSKI: — I jedno i drugie. Pracą społeczną zajmowałem się już w harcerstwie, później wróciłem na wieś i ludzie mi zaufali. Przed trzema laty wybrano mnie na wiceprzewodniczącego GRN-u, a od roku jestem przewodniczącym. Na początku kadencji myślałem, że mogę coś zrobić dla Grabowa.

— A dziś już Pan tak nie myśli?

— Z perspektywy tych kilku lat muszę przyznać, że z tego, cośmy zamierzali, niewiele się udało. Dużo barier okazało się nie do przeskokowania; w wielu przypadkach byliśmy bezradni. Ale nie chcę narzekać: coś nam się przecież udało. W ubiegłym roku przekazaliśmy nową szkołę w Krukowie i poważnie zajęliśmy się naszym największym problemem: drogami, chyba najgorszymi w województwie, a może i w regionie. Założyliśmy komitet budowy drogi do Białej Piskiej, czyli do najbliższego dworca PKP. Potrafiłmy nawet namówić dwie rady sołeckie do przekazania na ten cel swoich funduszy. Cieszy mnie też fakt, że zapadła decyzja ułożenia lepszych ulic i chodników w samym Grabowie.

— No, a niepowodzenia?

— Chodzi raczej o pewne moje rozczarowania. Inaczej wyobrażałem sobie działalność wiejskich samorządów. W ich przypadku można mówić o marazmie; opanowały je marginalne sprawy i sąsiedzkie spory. Np. Wiszowate i Skroda Wielka do dziś nie zorganizowały rad sołeckich, a mają w sumie na koncie dobrze ponad milion złotych, które mogliby przeznaczyć na wysypisko śmieci, podniesienie estetyki wsi itp. Myślałem na początku, że z wiejskich funduszy powstaną kluby rolnika, ale pieniądze idą na maszyny, które nie konserwowane, po kilku latach nie nadają się do użytku. Na sesjach GRN-u równie trudno skoncentrować się na sprawach dla gminy najważniejszych. Tracimy energię na drobne problemy poszczegól-

— Jak Pan myśli: czyja to wina?

— Sam często zadaję sobie to pytanie i przyznam, iż nie znalazłem dotąd jednoznacznej odpowiedzi. Sądzę, że wina rozkłada się na wiele podmiotów: na administrację (nie tylko państwową) z jej asekurancją i niekompetencją, na tzw. sytuację gospodarczą, czyli powszechny brak wszystkiego, zwłaszcza węgla i nawozów. Często jako członek Egzekutywy KW PZPR słyszę zarzut: jak wy tam rządzą? Staram się wyjaśnić, lecz coraz częściej moje argumenty nie trafiają do rozmówców. Zresztą w wielu kwestiach dzielam niepokój rolników.

— To wszystko są tzw. trudności obiektywne. A od was samych nie już nie zależy?

— Oczywiście, część winy przypada na nas, o czym mówiłem na początku. Mogę tylko dodać, że często radnym brakuje konsekwencji i zdecydowania. Łatwo się zniechęcają i wtedy często pada argument, iż wszyscy jesteśmy bezradni. Zdarzało mi się polemizować na sesjach z takimi zarzutami, ale po wymianie poglądów okazywało się, że radny był nie dość wytrwały.

— Czy w takiej sytuacji warto pracować społecznie na wsi?

— Właśnie na wsi warto najbardziej. Gmina jest jeszcze takim miejscem, gdzie najłatwiej o konkretne, widoczne wyniki; przede wszystkim zostać zauważonym. Jednocześnie środowisko wiejskie najkonsekwentniej egzekwuje obietnice. Kto raz się skompromituje, jest spalony na zawsze. W mieście łatwiej o anonimowość, a tutaj każdy cię obserwuje: patrzy, jak żyjesz, jak mieszkasz, co czytasz.

— Nie czuje się Pan zmęczony?

— Owszem, często łapię się na tym, że brakuje mi dnia. Największym niebezpieczeństwem grożącym działaczowi jest obwieszenie się, jak choinka, funkcjami. Byłem już tego blisko. Światłem ostrzegawczym powinny być nie załatwione sprawy i utrata zaufania wyborców. Mam nadzieję, że w porę zauważę jego migotanie. I jeszcze jedno: z moich obliczeń wynika, iż 14 dni w miesiącu przypada mi na wszelkie narady, a

ostrzegawcze światełko



nych środowisk. Rozumiem, że radni reprezentują swoich bezpośrednich wyborców, lecz kiedyś w końcu musi zwyciężyć wspólny interes. Groszowy podatek od psów „walkowaliśmy” cztery miesiące, i to na burzliwych sesjach, a kiedy trzeba podzielić jakąś większą kwotę, nie ma konkretnych propozycji. Także powszechna niemoc i indolencja okazywały się już kilkakrotnie silniejsze ode mnie. Masa bzdurnych przepisów, biurokratycznych ograniczeń i niekonsekwencji bardzo wagi na opinii rolników.

zdarza się, że wypadają po trzy dniennie. Mniej męczy mnie praca fizyczna na fermie niż siedzenie na tasemcowych konferencjach, na których (często na wysokim szczeblu) rozpatruje się drobne, szczegółowe sprawy. Dziś pewnie mocno zastanowiłbym się przed przyjęciem tej czy innej funkcji, ale jedno wiem na pewno: nie siedziałbym z założonymi rękami. Nawet tak niewielka władza, jak moja, umożliwia kontakty z ludźmi, ruch, zmienność, a to lubię najbardziej.

— Dziękuję za rozmowę.



— To będzie awandziesty pierwszy wiek — mówią — Architektura: nie jakieś tam pudełko, ale coś, czego jeszcze całe województwo nie widziało, bo projekt powstał w biurości Pracowni Konserwacji Zabytków. Będzie kolumny, mieszkanie dla palacza-konserwatora i pięć dla nauczycieli, sala gimnastyczna.

Kubatura budynku szkolnego — 3090,9 metra sześciu, powierzchnia użytkowa — 1973,2 metra kw. Największa inwestycja w gminie. Od połowy czerwca br. wartość wykonanej przez mieszkańców Niedźwiadnej i okolicznych wsi pracy społecznej — 3 miliony złotych, 70 proc. stanu zerowego. Raz w tygodniu przyjeżdża geodeta, bardzo często zagląda sam autor projektu, zadowolony z jakości robót.

Henryk Chmielewski, sołtys (od 1956 r.) liczący 40 gospodarstw Niedźwiadnej: — Wziąłem się od razu i nikt sobie nie wyobraża, że coś mogłoby się teraz nie udać. Indywidualne opodatkowanie ustaliliśmy od pięciu do dziesięciu tysięcy, a byli i tacy, co dali po 15. W budowie nie może być przerwy, bo ludzie się zniechęcą i wtedy to już koniec.

Piotr Witkowski, dyrektor miej-

W samo południe 26 sierpnia w Zebrach puste zagrody. Przy końcu trzykilometrowej drogi, biegnącej przez wieś, także pusto: od grudnia ub.r. Zalane fundamenty, na nich wapienne bloki ustawione w stosy, pod gruszą cegły białe i czerwone „ukrywane” tutaj już piąty rok; w rozlatującym się kurniku ślady kurzej bytności, zmieszane z dwunastoma workami skamieniałego cementu; dwadzieścia trzy, w takim samym stanie, złożone w „nowej” piwnicy; wapno od czterech lat porasta zielskiem, głęboki wykop z popękany, lecz ponoć już zlasowany wapnem, w jednej części piwnica pełna wody, już kruszące cegły na nowych fundamentach. Zaczęło się w osiemdziesiątym trzecim na wiosnę, skończy się...

— W tym roku znowu zbierali po trzy tysiące — macha ręką starsza gospodyni — Czy gospodarz by

te pieniądze postawiłby dwa domy”. Długa jest lista żalów pod adresem byłego dyrektora szkoły („Nie zależało mu na niczym „Po co mam sobie głowę łamać?”, mówił. Trzeba było go prosić, żeby zrobił listę kto, ile, czego przy budowie zrobił. Był do tego taki „zimny”), pierwszego majstra („Przychodził, kiedy chciał”), naczelnika gminy, inspektora oświaty i wychowania („Kiedyś w samo południe i zwózkę zboża pani Galińska przysłała, żeby zebrać ludzi do rozładowywania cementu”).

Czego chcą? Pomocy. Potrafia przecież dać z siebie dużo, gdy trzeba. Dowody? Budynek zlewni mleka wraz z przybudówką, którą postawili w cztery dni, remiza z klubem rolnika, sklep. Fundusz Rozwoju Rolnictwa mogli przeznaczyć na zakup maszyn; 800 tysięcy zasiliło jednak konto budowy szkoły.

W Urzędzie Gminy w Wąsosz też mają swoją listę żalów: zapal

dzieści osób (część młodzieży, która przypadkowo była akurat w klubie rolnika). Nieraz słyszałem w innych wsiach, gdzie była rozpoczęta budowa w czynie społecznym: „Jak naczelnik chce, to niech sobie buduje”.

Krystyna Galińska, inspektorka oświaty i wychowania: — Koszt budowy szkoły w planach z 1982 r. wynosił 22 miliony, dzisiaj sięga 30. W niezgodzie rośli już fundamenty. Majster skarżył się, że nie może zacząć pracy, bo nie ma do pomocy ludzi. Oni z kolei kazali mu szukać innych za pieniądze. Bywało, że jeśli nawet przyszli, okazało się, że nie mogą pracować ramię w ramię, bo są zwaśnieni. Musiałam prosić, żeby ktoś pomógł rozładować ciężarówkę z cegłą. Czy na tym ma polegać czyn społeczny?

Jerzy Ciuraskiewicz, przewodniczący Gminnej Rady Narodowej w Wiźnie, inspektor oświaty i wychowania: — W Nielawicach będzie pierwsza szkoła zbudowana społecznie w latach osiemdziesiątych w tej gminie. Budynek powstał w dwa i pół roku, nie licząc przerwy spowodowanej brakiem materiałów budowlanych. W Rutkowskich mieszkańcy kupili prom, wybudowali sklep, mają też inne plany; w Janczewie powstaje remizo-swieńlica (zaczęta w tym roku z własnych środków mieszkańców). Nie zgadzam się z poglądem, że inicjatywa społeczna upada, bo mnożą się trudności. Inicjatywie społecznej potrzebni są prawdziwi społecznicy. Musi być ktoś w każdej wsi, kto główny ciężar tych zmagani bierze na siebie, jest łącznikiem między wsią i urzędem, nie boi się trudów. Oczywiście, ludziom trzeba podpowiedzieć (np. kwestie prawne), ale muszą mieć świadomość odpowiedzialności za społeczny zryw i jego skutki. Tylko na zasadzie niepisanej umowy można cokolwiek stworzyć. Szkoda tylko, że wśród społeczników prawie nie widać młodzieży.

Krzysztof Chodnicki, naczelnik gminy Zawady: — Główny ciężar budowy szkoły w Konopkach Pokrzywnicy brali na siebie mieszkańcy. Mamy już dokumentację na budowę w Strękowej Górze. Czyni społeczne są zwykłe spontaniczne, ale nie można podchodzić do tego „na żywioł” i zaczynać np. od kopania dołów pod fundamenty „na dziko”. Robota i tak będzie zatrzymana, a sporządzanie dokumentacji, trwające nawet rok, sprawia potem, że ludzie opuszczają ręce. Wszystko musi odbywać się w racjonalnej kolejności; spontanicznie, ale z głową. Trzeba z ludźmi rozmawiać, wyjaśniać, doceniać społeczną inicjatywę, ale zrozumienie winny okazywać obie strony. Gmina nie ma przecież gumowego worka z pieniędzmi; te 20—30 proc. całej roboty spada na społeczników. Na szczęście większość z nich wie, czego chce, i rozumie nasze możliwości finansowe.

Stanisław Krassowski, kurator oświaty i wychowania: — Pod względem budowy szkół w czynie społecznym jesteśmy w czołówce krajowej. W ubiegłym roku, na 74 oddane do nauki pomieszczenia, 36 powstało dzięki społecznej pracy mieszkańców. Niestety, nie wszędzie i nie zawsze idzie gładko. Zryw społeczny daje efekty, ale do zakończenia inwestycji to za mało. Bywa, że ludzie zrażają się wcześnie trudnościami, nie rozumiejąc, że do takiego przedsięwzięcia trzeba się solidnie przygotować. Społeczny komitet budowy musi zebrać niezbędne środki (w myśl uchwały Rady Ministrów w sprawie czynów społecznych oraz pomocy państwa w ich organizowaniu i realizacji), a wszyscy mieszkańcy powinni zrozumieć swoją rolę gospodarza we własnej wsi. Niestety, zdarza się zamiana ról. Skutek: zniechęcenie, wzajemny brak zaufania, marnotrawstwo społecznego zapasu i materiałów budowlanych, konflikty między wsią a urzędem gminy. Niejednokrotnie proponowaliśmy społecznym komitetom budowy zorganizowanie spotkania z tymi, którym się udało, choćby po sąsiedzku. Reakcja najczęściej taka sama: „Damy sobie radę i bez tego”.

W Niedźwiadnej i Zebrach już wrzesień; nie taki sam, choć po sąsiedzku.

Fot. GABORA LÖRINCZEGO
(Jak i wszystkie nie podpisane zdjęcia w numerze)

GABRIELA SZCZESNA CHUCHANIE



NA ZAPAL

scowej szkoły: — Niektórzy śmieją się, że dyrektoruję trzem szkołom, bo wynajmujemy pomieszczenia w trzech prywatnych chałupach, gdzie warunki nauki takie, że szkoda gadać. Naszych dzieci jest najwięcej, 70; 69 uczniów mieszka w pięciu okolicznych wsiach. Oczywiście, główny ciężar spoczywa na Niedźwiadnej, ale w pracy społecznej przy budowie wyróżniają się też Brzeźno, Kurki i Czarnowo.

Niedźwiadna od lat walczyła o budowę szkoły. Zawsze jednak — obok ludzi zaangażowanych w sprawy środowiska — znaleźli się i tacy, którym zależało na skłóceniu mieszkańców, rozsiewaniu propagandy, że „takie różne plany” zgubią rolnika. Niesławia i niesmak zostały po spółdzielni produkcyjnej („zabiorą ci ostatnią krowę”), więc ludzie z nieufnością podchodzili do wszystkiego, co ma służyć „wszystkim”. Właściwie żadne zainteresowanie ówczesnych władz (lata 1963—65) dopełniło dzieła: mieszkańcy Niedźwiadnej nie zgodzili się na budowę szkoły, z czego skorzystał Niecik.

— Dzisiaj też zdarzają się tacy, których to, co wspólne, zupełnie nie interesuje, ale że są to wyjątki, nie zwracamy na nich uwagi — mówi Feliks Witkowski, przewodniczący MGRN. — Mamy bardzo dużo przykładów z naszego gminnego podwórka, że to, co robi się także dla innych, daje największą satysfakcję i nikt jej nie zabierze.

Jan Niebrzydowski, naczelnik miasta i gminy Szczuczyn: — Społeczny zapal łatwo wzbudzić i łatwo ostudzić. Najgorsze, co mogłoby nas spotkać, to zabicie społecznej inicjatywy. Największą barierą są zawieszanie pieniędzy. Jeżeli ich nie zabraknie, robota na pewno nie stanie. No, ale żeby były pieniądze, trzeba się w województwie pokazać.

tak zostawił to wszystko na zmarowanie? Już raz składali się po pięć tysięcy. Kupowali, zwozili, majstra zgodzili, a dzisiaj... Nie wiem, czy kto się tym interesuje, czy nie. Tyle szumu było i co?

Mieczysław Polakowski sołtysuje wsi, liczącej dzisiaj ponad 100 gospodarstw: — Chyba coraz trudniej dogadać się ludziom między sobą i z gminą. Nie potrafię powiedzieć, co dalej z budową. Ludzie opuścili ręce. Każdy mówi, że społeczna robota i pieniądze poszły w błoto. Sypie się stara szkoła i już kruszy nowa, choć dopiero fundamenty stoja. Kto jest za to odpowiedzialny? W gminie narzekają na Żebry, a u nas na gminę.

Miniony rok szkolny miał być podobno ostatni w starym budynku. Na wiosnę NOT wydał zalecenie wzmocnienia stropu. Wrzesień 1987 dzieci rozpoczyna więc w pomieszczeniach z podpartym deskami sufitem. Gniazdko elektryczne „zabezpieczone” są papierem. Dziewięćdziesięciu jeden uczniów przechodzi codziennie obok bielejących fundamentów i skamieniałych worków cementu — dotychczasowego owoce społecznego zrywu rodziców.

Ludzie żyją domysłami: przerwana robota, bo druga grupa majstrów wzięła za dużo pieniędzy; przewodniczący pierwszego społecznego komitetu budowy szkoły „uciekł do Ameryki”; co się dzieje ze społecznymi pieniędzmi, nikt nie mówi w gminie, ile i na co zostały wydane; gdzie się podziały deski z topoli przeznaczone na szalunki? Wreszcie stwierdzają: „Nikt z gminy nie interesuje się tą budową, a chłop za

w Zebrach był, ale... Społeczny komitet budowy szkoły nigdy nie zebrał się w komplecie, „pierwszy” majster często był na budowie sam; wapno zostało zlasowane dopiero po usilnych interwencjach; zaginął gdzieś dziennik budowy; w ogóle trudno było dotrzeć do dokumentacji, a inspektora nadzoru z Prosteck — znaleźć w całym województwie i jego rodzinnej gminie Z opodatkowaniem na budowę gospodarze w Zebrach nie sprawdzili się: zebrana dotychczas kwota (w czerwcu — 67500 złotych) jest zbyt mała, a ponadto świadczy też o stosunku mieszkańców do całej inwestycji. Byli tacy, co dawali po pięć tysięcy, ale i tacy, którzy wyjmując 100 złotych robili cyniczne uwagi.

Jan Szumowski, naczelnik gminy (do czerwca br. I sekretarz Komitetu Gminnego PZPR): — W świadomości niektórych ludzi funkcjonuje niezrozumiały dla mnie pogląd: zacznie się, a państwo i tak będzie musiało skończyć. Oczywiście, musimy tę budowę sfinalizować, bo nie stać nas na marnotrawstwo. Lada dzień wkroczy na plac brygada z Rejonowego Zakładu Budownictwa Wiejskiego w Szczuczynie, która kończy właśnie zaczęta gdzie indziej robotę. Na czerwcowym spotkaniu z kuratorem Krassowskim powiedzieliśmy mieszkańcom, że szkoła jest wspólną sprawą i ich, i całej gminy. A w gminie powstają także inne inwestycje, którymi mamy obowiązek też się zająć. Kuratorium przyznało 4 miliony na kontynuowanie budowy. Mam jednak niesmak po tym spotkaniu: na 107 gospodarstw zjawili się trzy-



OKRUCHY WIELKIEJ SKIBY

(Z DIARIUSZA POLITYCZNEGO PREMIERA Z LAT 1944-1947)

5
KONTAKTY
1987-09-13

7 września 1944. Wydaliśmy dekret o reformie rolnej. Miały ją przeprowadzać Urzędy Ziemskie. Towarzysze z PPR domagali się, aby przewodniczący PKWN osobiście objął ten resort. Sądzę, że był to wniosek Stalina. Bronilem się przed tym, mając i tak dużo pracy (jako przewodniczący PKWN, kierownik resortu spraw zagranicznych, zastępca prezydenta KRN, przewodniczący CKW PPS). Stalin kładł duży nacisk na reformę rolną. Wie, że reforma jest sabotowana przez Witosę (Andrzeja). Radzi nam dać dymisję Witosowi. Przejąłem ten resort dopiero wtedy, kiedy Stalin zwrócił mi uwagę: „Z Waszym nazwiskiem winna być związana reforma rolna w Polsce”. Jako zastępców miałem (z SL) mgr. Edwarda Bertolda i (z PPR) tow. Stanisława Bieńka, także przedwojennego ludowca.

Wobec sytuacji w Urzędach Ziemskich przeszliśmy z akcji państwowej na akcję społeczną. Brak nam było mierniczych. Komisje społeczne odmierzały działki w sposób prymitywny przy pomocy sznurków, przez samych chłopów sporządzanych miar itp.

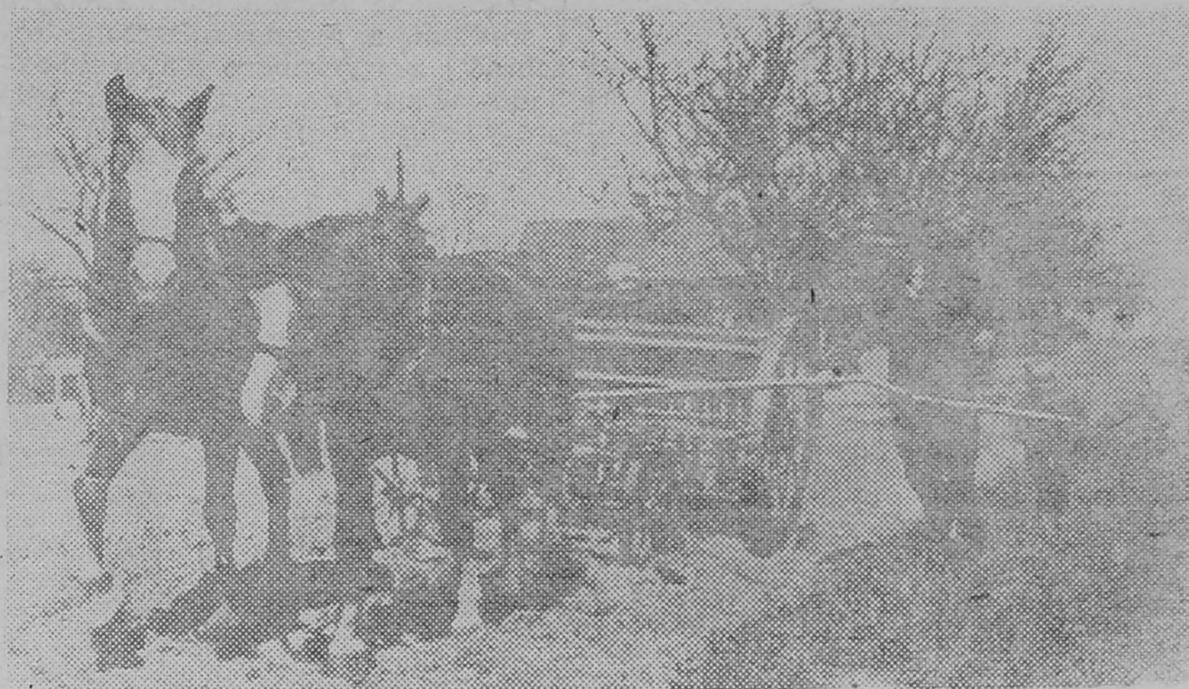
Spotkaliśmy się ze zjawiskiem, że dopóki byli właściciele mieszkali na miejscu, chłopowie powstrzymywali się przed braniem działek. Musieliśmy wydać drastyczne zarządzenie, że wywłaszczeni muszą opuścić swój powiat i przenieść się gdzie indziej. Podziemne bandy, kierowane niekiedy przez byłych właścicieli lub krewnych czy popieczników, groziły chłopom biorącym udział w reformie. Było na tym tle wiele ofiar i mordów. Na terenie Polski „lubelskiej” mieliśmy mało ziemi, toteż normy przydziałowe były niewielkie. Wynosiły 5 ha. Najsamprzód faworyzowaliśmy byłych fornal i biedotę wiejską. Stalin zwrócił nam uwagę, że ze względów politycznych nie powinniśmy pomijać tzw. średniaków. Uwzględniwszy tę radę i nakazaliśmy społecznym komitetom, aby ich nie pomijały. PPR usiłowała zbić kapitał polityczny na reformie rolnej. Zresztą nie tylko na niej. Jej działacze nie raz mówili: „Chcesz ziemi, chcesz zostać w MO, chcesz być oficerem — zapisz się”. Bywało więc, że chłopowie czasem nawet zaliczani do „kulaków” zapisywali się do PPR, co im jednak nie przeszkadzało po powstaniu PSL przenieść się do Mikołajczyka.

Reforma była częściowo odpłatna, aby wzbudzić szacunek do „kupionej” ziemi.

7 października 1944. Wydaliśmy dekret o mobilizacji sił mierniczych ze względu na konieczność przyspieszenia reformy rolnej.

17 stycznia 1945. Wprowadziliśmy dekret o reformie rolnej na ziemiach nowo wyzwolonych. Na reszcie ziem polskich, a także na ziemiach, odzyskanych — potrzebne były nowe dekryty. Tam przydzielaliśmy większe działki, uprzywilejowaliśmy repatriantów, a zwłaszcza kombatanów. Niektóre zabudowania na ziemiach odzyskanych miały zbyt obszerne zabudowania na

EDWARD OSÓBKA-MORAWSKI



Stalin radzi nam dać dymisję Witosowi.

Mobilizacja geometrów.

Na terenach przyczółkowych użyjemy krów jako siły pociągowej.

Chłopi w Nowo ielcach przywitali premiera chlebem i solą, ale na wiec pod firmą SL nie przyszli.



jedną chłopską rodzinę. Narzędzia rolnicze były częściowo wywożone, częściowo zaś niszczone nie zabezpieczone. Panował powszechny brak sprzętów. Konie z UNRRA przeznaczone były głównie na ziemię odzyskaną. Powstał problem resztek, które częściowo przeznaczone były dla szkół rolniczych, świetlic wiejskich itp. Ale wiele też było w porę nie zagospodarowanych i niszczały.

10 marca 1945. Rozparcelowano 23 majątki, a parcelacja 190 w toku.

Na Śląsku reformy rolnej nie przeprowadza się z powodu nieuporządkowania sprawy narodowościowej.

24 sierpnia 1945. Ponieważ nasi przeciwnicy rozsiewali pogłoski, że reforma rolna nie jest prowadzona na stałe, że nie wolno budować się na tych działkach itp., wydaliśmy dekret o wciągnięciu ziemi z reformy do hipoteki.

10 stycznia 1946. Wydaliśmy zakaz sprzedaży „dóbr martwej ręki”, gdyż władze Kościelne, obawiając

się wywłaszczenia, po cichu sprzedawały częściowo swoje majątki.

6 marca 1946. Przed referendum, z powodów nie tyle gospodarczych, co politycznych, znieśliśmy kontyngenty. Sytuacja aprowizacyjna uległa poprawie na skutek otrzymania zboża sowieckiego. Wieś oddała świadczeń za 12 milionów złotych. Akcja kontyngentowa była droga i biurokratyczna. Mikołajczyk zgłosił wniosek o wprowadzenie monopolu zbożowego. Minister Minc jest na razie przeciwny; obawia się komentarzy, że kontyngenty nie zostały zniesione, lecz tylko zreformowane.

22 marca 1946. Dotychczas przeprowadzono w terenie dopiero 9 proc. nawozów sztucznych.

4 kwietnia 1946. Posiadane traktory w ilości 6450 sztuk skierowane zostały na ziemię odzyskaną. Posiadamy na siew 140 tysięcy ton zboża i 140 tysięcy ton ziemiaków. Będziemy mieć także rośliny zastępcze, np. proso. Ceny zboża kształtują się na wolnym rynku od 1200 do 1300 złotych. Na ziemiach zachodnich rozkradziono nam zboże przechowywane na siew w stertach; najpierw mieliśmy zapas 135 tysięcy ton, później 60 tysięcy, aż wreszcie zostało tylko 9 tysięcy. Na terenach przyczółkowych użyjemy krów jako siły pociągowej.

7 czerwca 1946. Święto Ludowe zbojkotowane zostało w tym roku przez PSL i wypadło bardzo mizernie. Odbył się Zjazd Chłopski przy wielkim nakładzie wysiłków i finansów wszystkich partii i aparatu państwowego, ale się nie udał. Były też imprezy w terenie. Mnie SL zaprosiło do Nowosielec, gdzie kiedyś inny Edward, marszałek Rydz-Smigły, uczestniczył w zgromadzeniu 100 tysięcy chłopów. Żądających amnestii dla Wincentego Witosy. Chłopi w Nowosielcach wprowadzili przywitali mnie, jako premiera, chlebem i solą, ale na wiec pod firmą SL nie przyszli — wyglądali spoza swych stodół na łące obok ich domów. Przemawiałem przeważnie do OM TUR-owców, ZMW-owców, żołnierzy, PPS-owców i PPR-owców.

17 sierpnia 1946. Bandy utrudniały zbiory.

Reforma rolna, ziemię odzyskaną, bezpłatność oświaty i rozwój przemysłu zlikwidowały koszmar prześludnienia wsi polskiej, głód i wysokie ceny ziemi, wyjazdy na „saksy” itp. złe objawy społeczno-gospodarcze, które gnębiły przedwojenną Polskę. Powstały na wsi zupełnie nowe stosunki. Obok wzrostu zamożności chłopskiej pojawiło się zjawisko masowego odpływu ze wsi do miast, braku rąk do pracy na ziemi, starzenie się gospodarzy, zniżka ceny ziemi, oddawanie jej państwu za emeryturę, ugarowanie.

Przygotował
WŁADYSŁAW TOCKI

1919

MĄDROŚCI POSELSKIE

1987

„Na gruzach i zgłiszczach przypadło nam budować Polskę. Budujmy tak, żeby nas potomność nie przeklinała. Tylko mądra reforma rolna da wszystkim chleba.”

Wojciech Ulewicz

„Na gruzach i zgłiszczach przypadło nam budować Polskę. Budujmy tak, żeby nas potomność nie przeklinała. Tylko mądra reforma rolna da wszystkim chleba.”

WOJCIECH ULEWICZ
poseł ziemi kujawskiej

„Cokolwiek czynisz czyn mądrze i przewiduj skutki.”

Anatoliusz Miszak

„Cokolwiek czynisz czyn mądrze i przewiduj skutki.”

ANATOLIUSZ MISZAK
poseł ziemi tomżyńskiej

Historia i teraźniejszość



Zakochnani i emeryci czasu prawdopodobnie nie liczą; z zupełnie różnych przyczyn bezczynności sprawiła, że Władysław Wasilewski, zanim przeszedł na emeryturę, pomyślał, jak zagospodarować w przyszłości wolny czas. Akurat zbliżały się wybory do rad narodowych. Zdecydował się kandydować, tym bardziej że rady te miały wkrótce mieć do powiedzenia więcej niż kiedykolwiek przedtem w Polsce Ludowej.

Władysław Wasilewski do dziś nie potrafi zrozumieć, jakim cudem on, samorządowy nowicjusz, wygrał — było nie było w tajnym głosowaniu — wybory na przewodniczącego MGRN-u z tak znaną i cenioną zambrowską działaczką, jaką jest ekonomistka z „Mery-Blonia”, Zenobia Radziszewska. Ale ostatecznie nie on jeden debiutował, a nowym radom świeże spojrzenie nie powinno zaszkodzić — pomyślał — i zaczął się dokształcać w ustawach i przepisach.

Gdy zapoznałem się z ustawą o radach narodowych — wspomina dziś Władysław Wasilewski — wydawało mi się, że naprawdę wiele rzeczy będzie można w mieście przeprowadzić. Tymczasem w praktyce okazuje się, że wielkie ruchy ograniczają małe pieniądze oraz inne, równie istotne, „drobiazgi”. Bardzo potrzebna jest nam np. własna firma budowlana i teoretycznie jest to do załatwienia. Pewnie nawet zostanie w styczniu powołana, lecz nie przez nas. Nie dlatego, byśmy byli tak mało przedsiębiorczy, lecz że jej rozruch wymaga 500 milionów złotych, którymi, oczywiście, nie dysponujemy. Nasz roczny budżet w ubiegłym roku wyniósł 318 milionów, w bieżącym 432 737 tysięcy i tylko w takich granicach możemy sobie „poszaleć”. Do podziału budżetu gminy przez Radę nikt nie ma zastrzeżeń, ale też nikt nie jest zadowolony. Na oświatę przeznaczaliśmy 174,5 miliona, tj. mniej więcej 40 procent budżetu. Można by powiedzieć, że nieskąpo, ale... Właśnie dzwonił do mnie inspektor oświaty: „Władziu, kombinuj coś. Ani linijki w tym roku nie kupię, a widzę, że od listopada nie będę miał za co dzieci w przedszkolu karmić”. Drugą groszochlonną dziedziną jest gospodarka komunalna. Przeznaczaliśmy na nią 124 250 tysięcy, a już na początku sierpnia naczelnik jeździł czapkować w Urzędzie Wojewódzkim o dofinansowanie, bo zima była ostra i długa, a latem też nie można zrezygnować ze sprzątnia ulic i wywożenia śmieci. Wolę nie myśleć o tym, że zima może przyjść wcześniej. Z pozostałych 133 987 tysięcy 42 miliony pochłania administracja, a 81 milionów rozdzieliliśmy jak najsprawniej między pozostałe „działki”. Potrzeba ma nie tylko 21-tysięczne miasto, ale i 70 sołectw. Rolnicy rozumieją, że unia miasta ze wsią w postaci wspólnej jednostki administracyjnej, a szczególnie jednego budżetu, nie jest dla nich korzystna. Rozłączenie miasta i gminy było jednym z ważniejszych postulatów w czasie ostatniej kampanii wyborczej. W tym czasie na terenie wszystkich rumieńców podczas najbliższej.

Opinię tę podzielają zastępcy przewodniczącego: Waldemar Karpowicz, kierownik rejonowy ZSL-u, i Zdzisław Laskowski, rolnik z Brajczewa. W wiejskich gminach radni-rolnicy śmiało się rządzą i swobodnie dyskutują o bolączkach i perspektywach. Mają swój plan oraz skromny, lecz własny budżet. W zambrowskim miejsko-gminnym układzie radni wiejscy są nieco przygaszeni. Nawet jeśli któryś wystąpi śmiało i rozsądnie, ale jego propozycja kłóci się z interesem mieszkańców miasta, przeformować jej nie jest w stanie, gdyż reprezentanci wsi są w radzie w zdecydowanej mniejszości (liczba radnych odzwierciedla liczbę mieszkańców, a we wsiach jest ich 10 tysięcy).

Naczelnik Miasta i Gminy nie chce wypowiedzieć swej opinii na temat ewentualnego rozdziału. Sądząc, że wstrzemięliwość tę dyktuje mu obawa przed niezadowolaniem przełożonych. Urząd Wojewódzki niechętnie patrzy na wszelkie projekty rozdrobnienia administracji. Nie dlatego nawet, by mogło ono jej zaszkodzić. Przykład niedalekiej i mniejszej od Zambrowa Ostrowi, której nie połączono z

gminą w czasie ostatniego „administracyjnego przewrotu”, dowodzi, że nie to jest przeszkodą. Jak zwykle chodzi przede wszystkim o pieniądze, choć szczerze mówiąc, na prawdę niewielkie. Niektóre urzędy zresztą, jak USC na przykład, mogłyby nadal pozostawać wspólne. Jednak popularne porzekadło: „Łatwiej się ożenić niż się rozwieść” — sprawdza się nie tylko w między-ludzkich układach.

DANUTA
WRONISZEWSKA

MARZENIA CHUDEJ KIESZENI

JUŻ NA POČZĄTKU
SIERPNIA NACZELNIK
JEŹDZIŁ CZAPKOWAĆ
O DOFINANSOWANIE



Dwa „miejskie” problemy, które najbardziej trapią nie tylko przewodniczącego, zambrowskiego MGRN-u, to brak środków na remonty starych mieszkań (przede wszystkim bloków pokoszarowych) oraz na budowę nowej szkoły podstawowej. Obie te bolączki są niejako historycznym dziedzictwem Zambrowa. Miasto i szlachecka okolice jeszcze w czasie zaborów charakteryzował duży procent dzieci posyłanych na naukę. Po odzyskaniu niepodległości społeczeństwo z tym większą energią zabiegało o nadrobienie zaległości w oświacie. Brakowało przede wszystkim

szkół i nauczycieli. „Do poprawy tego stanu — pisał w monografii Zambrowa Józef Stanisław Mroczek — wykorzystywano każdą nadarzącą się okazję, nawet pobyt prezydenta Wojciechowskiego w Łomży. Na spotkanie to w grudniu 1922 r. przybyło wielu zambrowian, którzy przedłożyli projekt wykorzystania nie zagospodarowanych 138 budynków koszarowych ulegających zniszczeniu i ruinie.” Proponowano, by przekazać je szkołom podstawowym i średnim, a mocno zniszczone rozebrać i z uzyskanego materiału odbudować szkoły wiejskie. Odpowiedź prezydenta nie jest znana. Wiadomo natomiast, że zaczęli obywatele

zambrowscy zaczęli sami gromadzić fundusze i już w 1924 r. zostały oddane do użytku dwie szkoły podstawowe i gimnazjum.

Budynków pokoszarowych jest kilkanaście. Wzniesione w latach 1885—94 — stanowią dziś zabytek architektury i dzielnicę rodzinnych slumsów. W zawilgoconych kłitkach gnieźdzą się bowiem ci, których nie stać na spółdzielcze mieszkania. Na kapitalny remont, który zlikwidowałby m.in. błąd ówczesnych architektów, powodujący wilgotność pomieszczeń, jeszcze zapewne długo będzie brakować pieniędzy.

Natomiast „wepchnięcie” — po ciężkich bojach — do planu na koniec pięciolatki budowy szkoły jest sukcesem zbyt skromnym. Tzw. wskaźnik zmianowości w zambrowskich podstawówkach wynosi 2,5, co oznacza, że lekcje trwają od 8.00 do 19.00. Ponadto w Szkole Podstawowej nr 4 zagęszczenie wzrosło do tego stopnia, że część dzieci trzeba przenieść do innych, także przepelnionych szkół. Z ilości przed-szkolaków wynika, że zanim zostaną zalane fundamenty nowej szkoły XXI wieku, jeszcze w tym, a konkretnie za trzy lata, może dojść do tragicznej sytuacji. Przy okazji uświadcznia się różnica w społecznym zaangażowaniu mieszkańców wsi i miasta. Rolnicy budują szkoły nie oglądając się na zachęty i plany. Niedawno oddane zostały do użytku budynki w Laskowcu i Zagrobach, a już nowy komitet zawiązał się w Osowcu. Mieszkańcy błyskawicznie zgromadzili 6 milionów złotych. Tymczasem w mieście przez ostatnie dwa lata ze składek ludności i — niemałych przecież — zakładów przemysłowych uezbiarało się niecałe 2 miliony, choć budowany przez proboszcza Sawickiego ze składek społecznych kościół świadczy, że zambrowianie też nie są biedni i w razie potrzeby potrafią potrząsnąć kieszą. Obserwacja tempa budowy świątyni dała też do myślenia przewodniczącemu MGRN-u. Trzeba apelować do serc i umysłów. Ksiądz proboszcz ma ułatwić zadanie przez cotygodniowe kazanie. Władysław Wasilewski postanowił powołać trójki radnych i kwestować w domach obywateli miasta.

Gdyby jeszcze można było namówić zakłady przemysłowe do większej hojności... Niestety, przedsiębiorstwa są samorządne i nawet najważniejsza władza terenowa, jaką jest Rada, do niczego ich zmusić nie jest w stanie, a naczelnik może jedynie pilnować porządku wokół zakładów.

Jedynym wyjściem — uważa naczelnik, Zygmunt Biały — są przyjacielisko-partnerskie układy. Wtedy nawet wymóg samofinansowania może nie przeszkadzać miastotwórczym działaniom zakładów.

Budowa szkoły w każdym razie, rozumie to i naczelnik, musi być za wszelką cenę przyspieszona. W Zambrowie niedawno dowiedziano, że niemożliwe bywa realne: poza

planem został zbudowany systemem gospodarczym dworzec PKS-u, a będą znów wznoszone, po dłuższej przerwie, mieszkania zakładowe; w tej pięciolatce — 136.

próby dobrych układów Prezydium MGRN-u i naczelnika z dyrektorami i prezesami pozostaje jeszcze wywieranie na nich nacisków przez ich zakładowe władze: rady pracownicze i nadzorcze: — Inaczej — mówi Zygmunt Biały — czułbym się bezsilny, np. wobec PSS-u, bo chociaż nie podlega on mojemu Wydziałowi Handlu, lecz WSS-owi, za funkcjonowanie handlu w mieście rozliczany jestem ja. Atakowała mnie kiedyś za to załoga „Bawelny”, chociaż wśród niej znajdował się przewodniczący Rady Nadzorczej PSS-u. Ostatnio z PSS-em nie mamy większych kłopotów, chociaż ofensywny nie jest; przy nowym dworcu PKS-u natychmiast pojawili się „prywaciarze” z lodami i zapiekankami, a PSS wciąż wykazuje się obietnicami.

Władysław Wasilewski ma więcej żalu do WPHW. Baza kulturalna Zambrowa jest mizerna. Radni zdecydowali, że najlepszym ze złych wyjść będzie przekazanie kulturze pawilonu WPHW, dzierżawionego od Spółdzielni Mieszkaniowej. Przedsiębiorstwo po dobroci ustąpić nie chciało, a dla pozyskania sympatii społeczeństwa zaczęło sklep przyzwycięzać zaopatrywać, ale arbitraż ze Spółdzielnią przegrało. Jednakże wcale się nie wyprowadziło. Minister w Warszawie zdecydował, że ludziom w Zambrowie bardziej potrzeba sklepu niż placówki kulturalnej. Władysław Wasilewski nie zamierza jednak złożyć broni. Gdyby Wydział Kultury mógł wykupić od Spółdzielni Mieszkaniowej budynek ze wspólnymi piwnicami... Pieniądze są, ale z Funduszu Rozwoju Kultury nie można uszczknąć ani złotówki na inwestycje i remonty. A jak rozwijać działalność, gdy nie ma bazy?

Inną pilną inwestycją, na którą nie ma pieniędzy, jest Dom Seniora. Budynek podtrzymywany przy życiu przez rzemieślników z Cechu nieuchronnie przeobraża się w ruinę. Jest przywoity plan nowego Domu, na który ani miasto, ani Zarząd Wojewódzkiego PKPS nie stać. I w tej kwestii Władysław Wasilewski liczy na pomoc społeczeństwa: — Starość dopadnie każdego — mówi — a lepiej pomyśleć o niej zawczasu.

Znalezienie dodatkowych pieniędzy na pokrycie najniezbędniejszych potrzeb miasta nie jest łatwe. Na niczym nie można zaoszczędzić, bo coraz więcej dopłaca się do przedszkoli i kultury, straty przynosi basen i stadion. Wyciskanie pieniędzy z pijaków, chuliganów i oszustów przez mandaty i grzywny nie rozwiąże problemu. Urząd Skarbowy powinien się dokładniej przyglądać podatnikom. Z „jasnych” liczb wynika, że co dziesiąty rzemieślnik oszukuje państwo. A przede wszystkim — opinie przewodniczącego i naczelnika są w tej mierze zgodne — trzeba rzemiosła i usługi rozwijać. Urząd będzie przydzielał działki budowlane tym, którzy zechcą tworzyć warsztaty i różne punkty usługowe. Są to inwestycje najtańsze i z reguły opłacalne dla obu stron. Jedyny zambrowski hotel jest, na przykład, w rękach prywatnych i nikt do niego nie dopłaca.

Mimo iż Zambrow boryka się z różnymi bolączkami, nie żyje się tu źle. Dziś obywatele miasta nie podpisaliby się już chyba pod wierszykiem Władysława Mackiewicz, który delegacja zambrowian złożyła 65 lat temu prezydentowi Wojciechowskiemu: „Gdzie zwrócim oczy, / Zal widzim wszędzie, nędzę i cierpienia — / Spieszysz do pracy, nim wypetzną zoroze, / Lud bez wytchnienia. / Ale zamiera i w nim duch ochoczy, / A ból się wzmacnia i mu duszę mrozi... / Smutno nam Boże...”

Zambrowskie rolnictwo stoi dobrze, a w mieście sporo nowobogackich rodzin. Zakłady przemysłowe czekają na chętnych do pracy. Poza bazą oświatową i kulturalną właściwie nic nie hamuje już wzrostu liczby mieszkańców: są wolne tereny budowlane, dostateczna ilość ciepła, jeszcze w tym roku zostanie rozwiązany problem wody (budowa ujęcia dla osiedli Wschód i Północ opóźniła się z powodu braku cementu i niektórych urządzeń technicznych), a wkrótce potem ruszy oczyszczalnia ścieków. Miasto może się spokojnie rozwijać.

gie prezenty: robot dla Jasia za 110 dolarów, koszulka bawełniana za 30), przekazy i telefony w nocy (jest zdrowy, pracuje, ma kolegów z Zambrowa). Potem telefony się urwały, przesyłki — też, a ludzie przyjeżdżający „stamtąd” patrzyli na nią ze współczuciem. I wreszcie — „amerykański rozwód”. Nie była zaskoczona. Dzieciom nic nie powiedziała. Nareszcie rozwikłana sytuacja.

Ma jasną, uśmiechniętą twarz, energiczne ruchy. Ładnie szyję, dorabia też sobie robieniem swetrów (pensja: 19 600). Nie chce już żadnego „męża”. Był zresztą jeden amator, ale: — Za bardzo mi się zadowolił, do dzieci się wtrącał. Nie wiadomo, jak będzie; może wróci, a dzieci muszą mieć szacunek do ojca.

Którejś nocy znów telefon: „Jolka, mam dziewczynę, powiedz, że nie się?” „Ziutek, czemu ty mnie pytasz, to twoja sprawa.” „Pytam, boś ty kumpel mój najlepszy. Nigdy się na tobie nie zawiodłem. Świetnie sobie radzisz, wiem o tym. A ja jestem bezradny. Mam się żenić, powiedz.” „Ziutek, ty jesteś motylek, wiesz przecież. A może się zmienisz?” „Motylek? Jolka, co ty. Ale widzisz... w październiku urodzi mi się dziecko.” „Żeń się, Ziutek, żeń.” Odłożyła słuchawkę i do rana płakała. A potem przysznic, gimnastyka, kawa, dzieci do szkoły, staranny makijaż, czarne spodnie, szpilki, biały sweterek, uśmiech typu „jestem wolna i szczęśliwa” i — do pracy. „Życzliwi” zastanawiają się: „Kto (co) się za tym kryje, że wygląda tak świetnie?”

„Zono kochana. Teraz jestem w miejscowości, gdzie nie ma Polaków. Pracuję w bardzo bogatej dzielnicy i nikt nie chce nikogo przyjmować na stancję. Szukam więc mieszkania, myślę, że wkrótce znajdę coś taniego. Teraz już wiem, że Jugosławię, Czechy za Czechem, a Polak Polakowi wilkiem jest!”

Nareszcie przysłał zaproszenie, po czterech latach, dla niej i dla najstarszego, Marka. Młodsze dziewczynki (15 i 13 lat) zostaną z dziadkami. Rok szybko minie, razem wrócą, a jeszcze trochę zarobią na drugi samochód, na większe mieszkanie (może nawet willę), na „procenty” do pensji. Potem pojedą wszyscy na urlop do Bulgarii.

Na 23000 kont w NBP i PKO SA znajduje się ponad 30 milionów dolarów — w sumie prawie o połowę nakładów w stosunku do 1 półrocza ubiegłego roku. Tylko z racji procentów w PKO przybyło ponad 7 milionów dolarów. Statystycznie na jednego mieszkańca (nie licząc tego, co w „pończochach”) przypada 99 dolarów.

I naraz — stop: nie dostają wizy. Ale co to za przeszkoda dla Renaty (— Przez cztery lata z trójką dzieci tak się zahartowałam!). Nikomu nie mówiąc (— Tylko rodzicom powiedziałam pod przysięgą) postarała się o wizę do Meksyku. Polecieli z Markiem samolotem: cztery dni, z lądowaniem na Kubie, trwała ta piękna podróż. W Meksyku czekał już na nich znajomy Polak, wszystko ułatwił, pokazał, ugościł. Zwiedzali, a tymczasem załatwiano im przerzut przez granicę (samochodem, bo o 800 dolarów tańiej niż samolotem). W nocy czekał na nich elegancki samochód. Dali pieniądze komu trzeba. Wóz (czy jej się zdawało, czy były tam literki „CD”?) przejechał bez kontroli. Straż graniczna oddała honory. Po tamtej stronie już czekał mąż; rannikiem byli u niego w pięknym trzy-pokojowym mieszkaniu (200 dolarów). Renata robiła pierwsze zakupy i dziwiła się: cień do powiek trzy dolary, czyli 3000 złotych! Mąż się śmiał. On już przestał przeliczać. Renata spojrzała na niego czujnie. (— Aha, okres „szajby”; Renata, uważaj, powiedziałam do siebie).

Patrzyła wokół. Miasteczko było czyste, zadbane. Polski lekarz ginekolog (w kraju bardzo zamożny) mieszkał w restauracji, nauczycielka była posługaczką w domu starców, inna kobieta pracowała na dwóch etatach; w sobotę i niedzielę bez odpoczynku, sprzątała og-

romny biurowiec. Wszystko musiało lśnić. Przed zapłatą każdy pokój „odbierano”. Kobieta miała zniszczone ręce i wyglądała o 10 lat starszej. Płakała. Chciałaby wracać do kraju, ale poszła do roboty. Zarabiała nieźle.

Renata (kierowniczką dużego sekretariatu) miałaby żyć w takim poniżeniu? Albo sprzątać u rozkapryszonej Amerykanki, jak żona znajomego Polaka? Nie. Nawet za dolary. W dodatku czuła się niema. (— Dlaczego miałabym czuć się niema, gdy mam język?) Marek (uczył się angielskiego w szkole) szybko znalazł pracę w fabryce. Już wiedział, co kupi za pierwszą pensję, już się cieszył, planował. On, na pewno nie wróci.

Cztery lata rozłąki. Mąż niby taki sam, a jednak inny. Już wkrótce wyczuła, na czym ta inność polegała. Miała na imię Zofia, przyjechała tu spod Krakowa (mąż, dwoje dzieci, gospodarka). Po co zatem ją sprowadzał? „Tęskniłem za wami. Tamto nieważne. Zerwę, jak zechcesz.” Co miała mówić. Ze przez te cztery lata odzwyczaiła się od niego, a teraz obrzydzi jej i stał się obcy? Niech zostanie, ona wraca.

Kiedy w Warszawie wyszła z lotniska, wsiadła do taksówki i rozplakała się. „Płaczę pani, że wróciła

mówi o tym wprost. — Wysłałam go trzeci raz. A co będzie tu siedział, grosze zarabiał — odgarnia puszyste włosy energicznym ruchem. — Ja zarabiam 12 100, mamy dwoje dzieci. Wszystko robię sama. Nawet nie odczuwam specjalnie, że go nie ma.

Dom wymoszczony dywanami; piętrzą się kryształki za szkłem, lśnią chiński serwis, wyjmowany na wielkie okazje.

— Babskie potrzeby? Trudno, o-będę się. Gdyby co, żyć by mi tu nie dali.

Obroty największego w Łomży sklepu „Pewexu” wynoszą ponad pół miliona dolarów rocznie. W województwie jest pięć takich sklepów i kilka pomniejszych punktów.

Gdy wyjechał, ona sprzedawała kolejno samochód i miała z czego żyć. Te 300 dolarów kieszonkowego, które jej przysłał przez kogoś, odłożyła. Niech leżą. Lubi, jak są.

Ciągle w biegu, ciągle zapracowana. Tu działka, tu plantacja truskawek, tu porzeczek. Za truskawki wzięła 70 000, za porzeczki będzie drugie tyle albo i więcej, ale harówka straszna. Znajomi dziwią się: po co ci to, przecież nie musisz. A ona: „Lubię pieniądze i lubię pracować.”

Jest sama od roku. Straciła pracę, którą bardzo lubiła; z wyższym wykształceniem pracuje w obcym zawodzie. Wszystkie zawodowe ambicje (a miała szansę je zrealizować) poszły na boczny tor.

— Straciłam też spokój duszy. Jak się ułoży po jego powrocie?

W ciągu ostatnich trzech lat wydano 20 600 paszportów do krajów kapitalistycznych, w tym 14 200 — do USA. Dotąd nie wróciło 230 osób. Z każdym rokiem wyjeżdża więcej: w 1985 wyjechało 4200 mieszkańców województwa, w roku ubiegłym — 6300, a do lipca br. — już 3700. Po roku wraca jedna trzecia: 60 proc. zostaje na dwa, trzy lata. Są i tacy, którzy przedłużają pobyt do sześciu, siedmiu lat oraz tacy, co wracają po trzech tygodniach.

Zgodziła się, ale chyba przeliczyła swoje siły. Czuje się jak robot. Willa ogromna, a ona wszystko musi robić sama (teraz węgiel znieść do piwnicy). Ale najbardziej przytłacza ją odpowiedzialność za syna. Każdy dzień — nowe problemy. I jeszcze ten status samotnej kobiety, „amerykańskiej wdowy”. Każdy może ją skrzywdzić. Sąsiadka wyjechała z matką na jeden dzień, a gdy wróciła — zemdlala: willa zdemolowana, okradziona.

zostawić wszystko i lecieć



do naszej biedy?” — spytał taksówkarz. „Płaczę ze szczęścia, że znowu jestem w kraju.”

„Od tego bossa Polaka najlepsi pracownicy odeszli. Zaczyna się obawiać, że mu się firma rozpadnie. Może w końcu będzie człowiekiem. Teraz jestem u nowego bossa Amerykanina. Pracuję przy budowie, wyspecjalizowałam się przy budowie kominków. Boss jest z mojej pracy bardzo zadowolony. Mieszkamy na razie u niego w najpiękniejszym pokoju. Bossowa sporządza nam takie jedzenie (za darmo), że aż trudno uwierzyć, że są tacy ludzie. Zarabiamy o 60 proc. więcej, jak u tego Polaka.”

— Kocham pieniądze — 32-letnia Teresa (tureckie rajstopy, amerykańska spódnica, bluzka z Tajlandii)

— Jak przyjedzie, będzie nowy samochód, dzieciom się powpłaca na mieszkania; zawsze są jakieś wydatki. Niech tam siedzi jak najdłużej. Tutaj tylko udaje, że coś robi.

„Chciałbym chociaż w snach być z Wami. Pewnie już jesteście zmęczeni. Nie wyjeżdżaj na wczasy. To by źle świadczyło o Tobie. Mąż w Ameryce, a żona sobie używa. Mam już wszystkiego powyżej uszu. Ale muszę to jakoś wytrzymać. Może na wiosnę mnie odwiedzisz i pojedziemy do Bulgarii nad Morze Czarne?”

Ewa (10-letni syn) składa starannie list.

— A czemu nie do Wenecji? — pytam.

Konsternacja.

— Wszyscy jadą do Bulgarii; no, tak napisał. Z jego wyjazdu na razie same straty.

Ewa czuje się ciągle podglądana. Ograniczyła kontakty towarzyskie. Raz rozmawiała na ulicy ze znajomym, już były plotki. Ludzie piszą anonimowo do Ameryki. Co zyskała? Marzenie, że jak mąż wróci, wyjadą stąd, kupią inny dom, zaczną wszystko od nowa.

— Już nie kocham tego miasta. Dużo zapłaciłam za tę Amerykę.

Wyjeżdżają najbardziej operatywni. Ich rodziny są różne, chociaż w jakiś sposób podobne. Najbardziej — wystrojem wewnątrz, bogactwem przedmiotów. Tu marmurowa łazienka, tu fontanna i palmy; na kominku srebrne róże; cenne wany przykryte plastikiem. Jest już wszystko? Nie, nie wszystko — teraz kolej na mieszkania dla dzieci lub wnuków. To wcale nie jest dużo 20 30 tysięcy, więc jeszcze, jeszcze!

ALICJA NIEDŹWIECKA



Narkoman jest jak wulkan. Z otchłani wyrzuca ogień i magmę lub drzemie lekko dymiąc. Jednak zawsze niesie niepokój płonącego jestestwa. Spokojniutki nigdy nie będzie.

Gdy wszystko jest gównem, warte, możesz jeszcze ćpać. Na haju zapasz wszystko. Później poskręcasz się, gdy opatów zabraknie, i będziesz miał wszystkiego dosyć, kiedy nie zostanie ci już nic. Wchłonie cię myśl, aby polecieć rąk przekręć. Więc walisz 10 centów „siostry” lub „Marsy” w pompkę i grzejesz w druty. Duży wykop poszerza ci duszę, tkanki pożerają się. Jeszcze trochę trząchnie, ale już naprawdę po kłopotach, duszyczkę masz z głowy.

Dziwny to cent, co prawda egzotycznego pochodzenia, ale bez Lincolna na awersie. To mała działeczka opiatów w strzykawkę. W Białymstoku czy Elku dostaniesz centa polskiej heroiny za 5-7 stów, na Nowym Świecie — jeszcze taniej.

Wszystko niby fajnie jest: kumpli masz sporo, świat trochę ładniejszy, chociaż wymioty wyrzucają ci flaki. Czujesz Wielki Szpan. Wreszcie nie masz nic i jakby mniej — szpan. Mały jesteś, gdy skreślasz się, jak paru centów brak. I pustynię wokół masz. Ciągniesz więc w pompkę do pełna i walisz na przekręć, aby nie było już nic.

— Cześć, Peryt!

— Cześć! Jutro cię przysiał? OK, siadaj, w kuchni masz krzesło. Chcesz gadać o ćpunach? Pewnie bardziej chcesz słuchać. Możemy pogadać, jeszcze nie jestem na haju. Posiedzisz, to sam zobaczysz. Z Łomży jesteś? Dziadka znasz? Chyba już 13 lat bierze. Ciekawe, jak długo jeszcze pogrzeje? Miał żonę i dzieciaki, zostało mu tylko wyro. Gośka też była fajna, wesola dziewczyna. Pupą w Polsce teraz zarabia. Ostatnio gościła w Szczecinie. Rozłatuje się dawna wiara. Kto nie wykończył się, to wyjechał.

A ty pewnie egzotyki szukasz? Tu nie ma żadnej egzotyki. Siedzisz i myślisz, aby mieć na później, bo jak nie, to leżysz. A z towarem coraz gorzej, coraz trudniej o słomę. Wiesz, niedawno spotkałem kumpla. Grzeje 15 lat i taki wrzuca tekst, że po sezonie zakończy, bo kłopoty z opiatami. Jak chwilowo nie będzie miał towaru, to przegrzeje wodę. I tak na okrągło: podymi i znów przegrzeje. Teraz każdy czeka na zielony mak, a jak czeka, to pije, aby wichura była.

— O, cześć, Gena! Ten gość chce posłuchać o ćpunach.

— Co chcesz wiedzieć? Chcesz wiedzieć, jak brałem, dlaczego? Wódkę leciałem i nie wciągnęło. Myślałem, że jak spróbuję opiatów, to też nie wciągnie. Pięć lat już grzeję. Mówili, że fajnie jest po opiatkach. Pierwszy raz wziąłem i nie, tylko rygałem jak kot. Myśle: jakoś słabo. A później już wciągnęło.

Patrzysz: grupa. Myślisz: w grupie, jak bracia, każdy każdemu pomaga. Zgrana ekipa. Razem wyjeżdżają. Idzie się na wszystko. Filozofia niestworzona: żyć krótko, ale szczęśliwie. Później inaczej to wygląda. Coraz trudniej o towar, ciągle walenie się po rogach. Za parę centów jeden drugiego wyroluje. Samemu trzeba zdobywać każdą dolę.

Czy nie mam tego dosyć? Czasami. Mówiłem sobie: a kit, przekręcam się. I nic nie wyszło. Raz zimą byliśmy w kumpla dacy. Celowo przegrzałem dużą dawkę. Obudziliśmy się zmarznięci na śniegu. Kumple myśleli, iż ducha widzą. Powiedzieli, że po szprycy zsiniałem i drgawek dostawałem. Robili masaż serca, lecz jak zobaczyli, że nie pomaga, wywalili mnie na dwór.

Towar? Przed sezonem jest trochę kłopotów. W zeszłym roku miałem stodołę pełną słomy. Parę garnków i już makiwara gotowa. Od babci brałem relator. Po co? To sól. Tym się przyprawia makiwarę, aby miała większy wykop. Tylko teraz muszę z warzeniem uważać. Niedawno w chacie siedziałem, ktoś puka do drzwi. Niby listonosz; otwieram. W progu luźno dostałem, że przeleciałem do kuchni. Na szczęście nie miałem. Ale dom spalony, trzeba u kumpli warzyć. Coś się zawsze wymyśli.

A wiesz, Peryt, że Papawer przekręcił się. Trzy miesiące leżał na erce. Sukinsyn był mi winien 3 centy i płyty.

Czy można uśpić narkomański żar nienasycenia? Ponoć można. Czy na długo? Tego nigdy nie wiadomo. Niektórzy nie wybuchają już od lat, choć w trzewiach ciągle coś dymi. Uśpieni rycerze narkomańskiego widu — drzemiący, lecz niebezpieczni.

Jedno jest pewne: tzw. normalność pijanych co dnia Polaków, pełniąca od pierwszego do pierwszego, nie jest dla nich żadnym ideałem. Ich mikrobunt musi przynajmniej zapaść małe zafalowanie, podmyć trochę brzozy obetonowane. A jak chcą żyć? Przynajmniej na stojąco, nie pełzając; bez kartek i szufladek porządkujących i systematyzujących. Jeśli głaszają gotowość odrzucenia narkomańskich kłapek, to nie po to, by zakładać inne. Już zawsze będą oglądać się na boki i zastanawiać, gdzie podążają. A najlepiej zawsze iść w stronę drugiego człowieka. Czasami przecież człowiek pomoże, bo i kto inny.

DUSZYCZKI PO 10 CENTÓW

teraz każdy czeka na mak,
a jak czeka, to pije,
aby wichura była

— Jesteśmy po trosze mafia ludzi, którzy chcą i mogą pomagać narkomanom — stwierdza Ewa Czymara, kierowniczka MONAR-u w Ostrołęce.



W tym ośrodku zbiegają się nicy życia narkomanów z Łomży, Ostrołki, Białegostoku i jeszcze kawałka Polski. Przewinęła się ich ponad setka. Kilkunastu już nie wybuchła szalonym, narkotycznym głodem.

Malkontenci powiedzą, iż to mało. Możliwe. Tylko że malkontenci nie wymyślili jeszcze nic lepszego. Wymyślili jedynie literki prawa, oddziały detoksykacji z witaminami i statystyki. Cyferki przyszły, odrzuciły się witaminami, wyszły, tylko nie bardzo wiadomo, skąd przyszły i dokąd odeszły.

A żar narkomanii drzemie sobie w duszy. Tu czyni czasami zawód, a słowa działają cuda. Dusza najlepiej ratuje słowo zrozumienia, wypływające z drugiej duszy.

Siadamy przy solidnym stole drewnianym przed parterowym domkiem MONAR-u. Prawie cała MONAR-owska społeczność w kompiecie. Na ganku wisi dzwon. Zarzmi wtedy, jak ktoś będzie miał jeszcze nadzieję i wezwie pomocy. Nie zabrzmi on patetycznie; raczej dźwiękiem rozpacz. Jest to najświętszy ton tej społeczności. Jak na

marynarskie S.O.S. — „Ratujcie nasze dusze” — wszyscy muszą pospieszyć tonącemu na ratunek.

To nie, że stół jest toporny, z grubszą ociosaną, nie okrągłą i bez wysokiego polysku; za to demokracji przy nim jakby więcej. Można mówić o wszystkim, co boli, i wszystko jest godne uwagi. Nikt się nie obraża. Takie mikrospołeczeństwo z makrotolerancją.

— Jak reanimujecie dusze?

— O duszę można walczyć tylko idea, wszystko inne trafia w pustkę — stwierdza Ewa. — Trzeba walczyć w niej miejsce na prawdziwe wartości życia. Każdy ćpun czy wachacz doskonale wie, co robi. Rady psychologa czy pedagoga jeszcze bardziej kreują go na bohatera. Mózg i wątroba są dla niego nieważne. On musi sam uznać inne wartości, dla których zechce ratować życie.

Ćpun jest słabym niewolnikiem z trzęsącymi się łapami. Uważa, że buntuje się przeciwko blichtrowi,

a nie widzi, że jego bunt też jest blichtrzem. On musi uwierzyć, że może przestać być marionetką i sam decydować o swoim życiu.

— Trzeba mieć silny motyw, aby tutaj przyjść — mówi Wiesiek, MONAR-owiec z rocznym stażem. — Czasami trzeba nieźle oberwać od życia. Dopiero po jakimś czasie zaczynamy łapać, po co tu przyszliśmy. Samo przyjście było tylko pewną deklaracją. Grupa pokazuje, jak można i jak trzeba postępować. Musimy tu być rodzeństwem, inaczej się nie da. Stresy i napięcia razem trzeba przełamywać.

— Szesnastolatek nie jest przygotowany do samodzielnego rozwiązywania problemów — włącza się Piotrek. — Żyje z dnia na dzień; najważniejsza jest przygoda. Tutaj najsilniej oddziałuje grupa. Ona lepiej potrafi przekonać, zmusić do logicznego myślenia, przedstawić argumenty.

— Piotrek, jesteś neofita. Przez 6 lat ćpałeś, teraz pełnisz rolę wychowawcy. Jak się w niej czujesz?

— Tak, 6 lat brałem opiaty, siedem razy budziłem się w szpitalu. Tu się ciągle trzeba uczyć. Bronię się przed rutyną. Zresztą, ludzie nie pozwolą na rutynę. Każdy dzień ze swoimi sytuacjami jest inny. Jak ktoś się poddaje i wyjeżdża, wiem, że to moja porażka; czuję się bezsilny. Narkomani są słabi, reagują bardzo emocjonalnie.

— Czasami ktoś ma już dosyć, chce uciekać — wtrąca Artur.

— Grupa czuje, że jest to nastrój chwili. Później już tylko ambicja nie pozwala mu się wycofać. Wtedy warto go zatrzymać, nawet siłą. Na drugi dzień sam widzi nową szansę.

— Każdy człowiek jest oddawany na pożarcie grupie — mówi Ewa. — Nie ma osobistych spraw, wszystko musi być na wierzchu. Każdy narkoman musi nauczyć się obserwować samego siebie, a wszyscy mają tendencję do samooszukiwania się. Narkoman bez przerwy fałszuje obraz samego siebie. Grupa w ostry sposób musi przekazać mu prawdziwy, inaczej nie zmieni się. On powinien być sam i skazany na grupę, inaczej wyplacze się w mankiet i będzie wszystko OK. Jeżeli ćpun dostałby od razu kupę ciepła, nie miałby motywacji. A kiedy wie, że nie jest akceptowany, ma do wyboru wyjazd albo zmieni się. Ludzie dopiero wtedy zaczynają go akceptować, jak zobaczą, że pracuje nad sobą. On musi wiedzieć, do czego chce dojść.

Myślą o woli i wolności, a tracąc ją bezsilnie. Bezwolność zapala ich, a wydobytą wolą usypia narkomański szal. I choć nadal dymią i wybuchają narkomańskie wulkany, to jednak niektóre już drzemają twardym snem.

WITOLD M. PATOKA
Fot. ZBIGNIEW ZALEWSKI

Domek Ogrodnika przycupnął z dala od Pałacu, jakby w obawie przed możliwością przeniesienia ujemnej starej siedziby pruskich junkrów. Tylko park jednakowo służy wszystkim — ogromny w dziewiętnastowiecznym rozmachu, z aleją dębów pośrodku.

— Berta jestem — mówi, jakbyśmy widzieli się po raz pierwszy. W jej oczach tli się smutek, który odnajdę też na zdjęciach jej matki, Niurki, ślicznej młodej Tatarki w narodowym stroju. — Prawdą jest wyłącznie to, czym naznaczyły mnie dzieciństwo, rozłąka, studia, praca. Jest prawdą tylko to, że dążyę ciągle, by najpełniej oddać siebie innym — wstęp rozmowy brzmi nieczym wyznaniem wiary. — Być może trudno przyjdzie zrozumieć ci moją decyzję, ale pierw trzeba samemu przeżyć łyż upokorzenia i beznadzieję, aby pojąć czyjeś łyż, upokorzenie i brak jutra. — Boże mój! — zaśmiewa się nagle, aż Iwa podrywa się spod biurka. — Nigdy dotąd nie wypowiedziałam tylu patetycznych słów.

Na dole Tomek pobrzakuje talerzami w takt radiowej muzyki. Piotrek ćwiczy wyprawki na trąbce, którą przywiózł z sobą, a Jacek z Jarkiem szuflują koks przed domem. Tylko praca jest w stanie zabić w tych dużych dzieciach pamięć ich przeszłości, kiedy w życiu każdego smak przestał się śnić po nośnego z nich były narkotyki, aby

cach. — Pojawiam się znikąd. W życiorysie piszę, że urodziłam się w Szczecinie, w 1943. W rok później na świecie pojawił się Janek, a w 1952 — Helenka. Przez tyle lat wdziliśmy o sobie tyle tylko, że żyjemy. A dzisiaj Jasiak mieszka niedaleko stąd, w Zielonym Ostrowie. Kiedy miałam trzy lata, rodzice przeprowadzili się do Warszawy, gdzie na Grochowie ojciec postawił drewniak, a obok położył fundament pod dom duży, piętrowy, godny jego zamierzeń i zarobków fachowca od szklarni. Dobrze nam się żyło; na tyle dobrze, że rodziców stać było na przyjęcie pomocy, niezastąpionej cioci Heli. Ale wkrótce los pokazał zęby. Piąty rok mi szedł, kiedy w wypadku zginął ojciec. Z dnia na dzień runął nasz świat. Skończyły się pieniądze i desery na stole, a gospościa musiała odejść. Matka, z ciągle zapuchniętą od płaczu twarzą, z trudem radziła sobie z polską powojenną rzeczywistością, bo jakże mogła sobie z nią poradzić krymska Tatarka, którą ojciec przywiózł z Taszkientu. Niewiele też pomógł człowiek, który ożenił się z matką. On widział wyłącznie budowę komunizmu i zakład pracy, dla którego stracił zdrowie i gdzie pomiatano nim jak byle pętakiem. Po latach dowiedziałam się, że zmarł przy budowie łodzi, którą chciał przepłynąć Mazurę. Gruźlica zaatakowała raptownie. Matka poddała się. Umierała długo, w cierpieniach.

Mnie zabrała ciocia Hela i wywiozła do Zdun, gdzie mieszkałam do ukończenia szkoły średniej. Janka wzięli na wychowanie kuzyni pacjentki, która leżała obok matki w szpitalu. Helenka trafiła do sąsiadów z ulicy. Zdawało się, iż poszczęści się jej jak każdemu z nas. Przybrani rodzice, bezdzietni i majątni, traktowali ją jak córkę. Trwało to do czasu zanim nie zmarł pan Kozera. Potem Lenkę przegarnęła grochowska ulica.

Pukanie do drzwi. — Berta, co na kolację? — dwudziestodwuletni Tomek rozpoczął ósmy miesiąc leczenia.

— Weź koszyk i pójdz do Pałacu. Dadzą ci przydział, zrobisz kanapki. Na pewno będzie mało. W lodówce znajdziesz salceson, ser żółty, miód. I spiesz się, niedługo wrócą chłopcy i będą źli, jeśli się spóźnisz. Już teraz nastaw wodę na herbatę. I przypomnij jutro, abym Jarka wypędziła do dentysty.

To automaty o ludzkich twarzach — wskazuje głową drzwi. — Musisz ich zaprogramować, dopiero wtedy będą działać. Każdemu z osobna trzeba wytłumaczyć, jak przystać guzik, zamówić zamieszcową, nastawić fasolę, żeby zmiękła.

Mogłaby więc Berta powiedzieć, że już wtedy, u ciotki, postanowiła poświęcić się bliźniemu. Matura wypadła przeciętnie, a potem wybrała pe-

dagogikę. Wie wybrała radnością przez pół przy głębie dziecku. Eja i w domu dzie wali dzie

— Wtedy wobec dzi buntu, do sweterka, b wyplakania by miało wawcy. Z z nich. W życie moje, dzieliłmiśm dzinny, rod dzeństwo, w start w do Wiedziama, zwiariuje. M kobieta, po więc małże szczęścia w wspólnym był całkiem może herba siacu przes sześciu mia przystankie wywania s dal spędza dzie.



Po sześć coś w ro Wyciągnięt rzekła byt gać się w Wyladowa dzielnicw żyła. Zrob ki z domu pominie

— Nies koleżanka: terapii zaj choneurole resującj wach w robkach i nia się w lam z mie rok wylac

1 lutego Trusiewicz społu dobrze psychiatr nego, pr na ekspe

— Post lat nadrol ści temat galam na Wpychała i naukow załam się liśmy się awantur, przypadko ce. A ko Sierpnia nym akce za. Pulsz nem życi skunowe bkape wi



dogogikę. Było ciężiej, niż sobie wyobrażała, głównie z zaradnością życiową. Po studiach przez pół roku uprawiała się przy głęboko upośledzonym dziecku. Egzamin wypadł celująco i w nagrodę trafiła do domu dziecka, czyli przechodni dziecięcych nieszczęść.

— Wtedy dojrzałam do szacunku wobec dziecka, do jego prawa do buntu, do nałożenia dziurawego sweterka, byle był od mamy, do wypłakania własnego zdania, choć miało być obrazą dla wychowawcy. Z czasem stałam się jedną z nich. W ich losie odbijało się życie moje, Jasia, Lenki. Nawet dzieliłyśmy się marzeniami: dom rodzinny, rodzice przy kolacji, rodzeństwo, wstawanie do szkoły, start w dorosłe życie. Grzęzłam. Wiedziałam, że muszę odejść, bo zwariuję. Myślałam, że, jak każda kobieta, potrzebuję rodziny. Było więc małżeństwo i próba lepienia szczęścia w dziupli na Ochocie ze wspólnym przedpokojem. Początek był całkiem obiecujący: „Pysiu, może herbatkę zaparzyć?” Po miesiącu przestało mnie to bawić, po sześciu miałam dosyć. Dom stał się przystankiem służącym do przechowywania świeżej bielizny, a ja nadal spędzałam całe dnie w zakładzie.



Po sześciu latach pracy przeżyła coś w rodzaju śmierci klinicznej. Wyciągnięto ją z tego, a ona przyrzekała być ostrożniejsza: nie wciągać się w żadne zajęcia bez reszty. Wylądowała jako plastyczka w dzielnicowym domu kultury i odżyła. Zrobiła magisterium, a majątki z domu dziecka odeszły w zapomnienie.

— Niespodziewanie zadzwoniła koleżanka: poszukiwali instruktora terapii zajęciowej w Instytucie Psychoneurologicznym. Mówiła o interesującej pracy, światowych sławach w psychiatrii, wyższych zarobkach i potrzebie samookreślenia się w moim wieku. Zaskoczyłam się miejsca, jakbym przez blisko rok wyłącznie na to czekała.

1 lutego 1978 r. mgr Bertę Trusiewicz przyjęto w skład zespołu dr. Andrzeja Szermisa, dobrze zapowiadającego się psychiatry, człowieka szlachetnego, pracowitego i otwartego na eksperymenty.

— Postanowiłam w ciągu dwóch lat nadrobić zaległości w znajomości tematu. W wolne godziny biegłam na wykłady dla studentów. Wpychałam się na różne sympozja i naukowe spotkania. Znowu pograłam się bez opamiętania. Rozeszliśmy się z mężem bez złości i awantur, jak dwoje ludzi, którzy przypadkowo spotkali się w kolejce. A kolejki w pamiętnym roku Sierpnia stawały się już nieodłącznym akcentem polskiego krajobrazu. Pulsowały przyspieszonym tętnem życia kraju, wyprzedzały trybunowe komunikaty, uzupełniały skąpe wiadomości dzienników, wy-

dobrywały na światło sprawy dotąd przemilczane. Okazało się, że problem narkomanii nad Wisłą nie sprowadza się do audycji z Monachium i grupy rozwydrzonych chuliganów, którym z dobrobytu poprzewracało się w głowach. Ta grupa rozrosła się nagle do kilkudziesięciu tysięcy, a wokół rozległy się wołania o skuteczne przejście do ataku.

W takich okolicznościach prof. Kazimierz Dąbrowski, szef Instytutu Psychoneurologicznego w Warszawie, w obrębie III Kliniki stworzył oddział leczenia narkomanów.

— Trafiłam tam, gdzie chciałam: do dr. Kariny Chmielewskiej, której zlecono pilotowanie oddziału przewlekłe uzależnionych, jak z początku nazywano narkomanów w oficjalnej nomenklaturze. Wówczas już dobrze wiedziałam, że dla mnie odwrotu nie ma. Na oddziale detoksykacji poznałam syna znajomych i zajęłam się nim troskliwiej. Janusz otworzył przede mną piekło: pokazał mi ostatnie dziesięć lat swojego życia, a w końcu życie tych, dla których nie było już ratunku. Głód, ból, strach przed śmiercią były niczym w porównaniu ze szczyptą hery. Po miesięcznym pobycie na oddziale odtruwania powiedziałam sobie: „Stop, Berta, to nie dla ciebie”. Zrozumiałam, że tym chłopakom, przywożonym na sygnale erka, potrzeba nie kropelki, środków uśmierzających ból,

witamin i leków zmniejszających głód narkotyków, lecz człowieka, który przez dwa-trzy tygodnie zaszczerpi w nich wiarę w możliwość wyleczenia. Szpital nie przyjmował narkomanów na długotrwałe leczenie, a w ośrodkach MONAR-owskich przepełnienie. Janusz nie odstępował mnie. Utwierdzał w przekonaniu, że trzeba pójść dalej. W Towarzystwie Zapobiegania Narkomanii zetknęłam się z ludźmi, którzy reprezentowali podobne stanowisko: konieczności utworzenia czegoś na kształt MONAR-u, lecz ze znacznie łagodniejszym programem terapeutyczno-wychowawczym. Naszym zamiarom patronowała dr Helena Baran, psychiatra. W swoim gronie mieliśmy i Marka Bajewskiego, pedagoga, i ks. Adama Kozłowskiego, młodego wikarego z Poświętnego, i Waldka Wyszynskiego, ongiś narkomana, później gospodarza schroniska na Baniacy, i kilku innych.

Wystartowali ostro: na szkoleniu dla księży, poświęconym narkomanii, jakie zorganizowała Kuria Biskupia w Warszawie w marcu 1982 r. Był to czas wyjątkowo dogodny na uzyskanie zgody, wyrwanie środków i rozpoczęcie roboty. Ale trudności otrzeźwiły ich natychmiast: ani Kościół, ani służba zdrowia, ani żaden instytut czy stowarzyszenie charytatywne nie zamierzały maczać rąk w tak ryzykownym przedsięwzięciu. Bicie głową o mur wykrużyło szeregi. Pozostali Berta z Januszem. Zdezelowanym gazem brata Janka, który osiedlił się na Mazurach, przemierzali setki kilometrów i wypatrywali opuszczonych domów. Natrafili na Wincentego Minczuka, zeglarza rozmiłowanego w Mazurach, który

miał stare gospodarstwo koło Harzsu. Za przystępną cenę godził się odstąpić je na szlachetny cel Kościół wyasygnował nawet pieniądze, lecz wzbraniał się przed firmowaniem placówki. Po blisko rocznych perturbacjach sprawa upadła.

— Wiosną 1985 roku, całkowicie zrezygnowana, zapukałam do dr. Buraka, dyrektora szpitala psychiatrycznego w Węgorzewie. Mówiłam o obowiązku wobec chorych, humanitaryzmie, powinnościach lekarza; nęciłam rolę protektora. Kiedy skończyłam, dr Burak wstał, podał mi rękę i powiedział: „Dobra. Zobaczymy, co da się zrobić. Muszę uzgodnić to z władzą”. Prawdę powiedziawszy, nie miałam żadnych nadziei. Zbyt dobrze znałam scenariusze takich spotkań, by wierzyć w cokolwiek.

— Wie pan — dr Burak, mężczyzna blisko pięćdziesięcioletni, w ocieplaczu i gumofilcach, wyglądał tak, jakby wrócił z polowania — ja im się dziwię, zwłaszcza pani Bercie. Mogła przecież siedzieć w Instytucie, zrobić doktorat u kogoś z dobrym nazwiskiem, zająć się narkomania, zacząć publikować i wejść w tak zwany obieg. Ale ona uparła się i na dodatek mnie przekonała. O wybudowaniu ośrodka mówi nie było, więc podsunąłem takie rozwiązanie: mamy w Rudziszkach, szesnaście kilometrów od miasta, stary pałac, gdzie trzymamy alkoholików i chorych psychicznie; oddam dół skrzydła, wydebuję dodatkowe środki z „korkowego” i oddział ruszy. Na miejscu pani Berta rozejrzała się i wymyśliła, ażeby oddział leczenia narkomanów ulokować w Domku Ogrodnika, parterowej chatce z podwyższonym strychem, którą nasza brygada wyremontowała z okazji jakiegoś zjazdu psychiatrów. Argumentowała, że chorzy, którzy dobrowolnie zdecydowali się na dwuletni pobyt w ośrodku, muszą być prawie odizolowani od świata. Sami będą palić w centralnym, utrzymywać porządek wokół domku i w parku, pracować, prowadzić gospodarstwo ogrodnicze, pasiekę. Cenzurowane listy, kontrolowane rozmowy telefoniczne, rewizja przy powrocie z miasta, spaceru wyłącznie dwójkami. Ośrodek istnieje od grudnia 1985 roku i dysponuje siedmioma miejscami, za wcześniej zatem mówić o wynikach. Przy tego rodzaju chorobach o rokowaniach decydują czas, wytrwałość leczonego i benedyktyńska wprost cierpliwość prowadzącego.

— Do każdego człowieka można trafić, trzeba tylko znaleźć klucz. Czy uważasz, że ta siedemnastka — Berta przesuwając ręką po grzebieniach kilkunastu szarych teczek — to przypadek? Nie. Każdy z nich pragnie żyć i dlatego znaleźli się w Rudziszkach. Rzecz w tym, by takich Rudziszek było jak najwięcej; nie kilkanaście w Polsce, lecz kilkaset. By ktoś, kto dojrzał do powrotnych narodzin, szybko znalazł położeń. Chętnych na akuszerów nie brakuje, tylko trzeba wyłowić ich z tłumu, zachęcić, przekonać, że są tym chłopcom potrzebni nieczym dzień i noc. Czy Magda, żona prywatnie, musi tu dorabiać? A ona trzy razy w tygodniu tłucze się autobusami w Węgorzewie. Albo Lenka, lekarz psycholog, która oprócz pracy na oddziale wzięła u nas dyżur. Józef, szkutnik z zawodu, zamiast zagranicznymi kleić latem łajby, woli chłopaków uczyć żeglowności. A Romek Jastrząb spod Łomży, który zakłada z chłopcami pasiekę, dojeżdża raz w miesiącu.

— Jak długo tu będziemy? Nie wiem. — Berta z chłopcami odprowadza mnie na przystanek. — Może przez ten czas znajdzie się ktoś, kto zechce po nas przejąć prowadzenie ośrodka. A czy wiesz, co powiedział Jaś, mój chłopak? „Bertusia, my stąd nie mamy odwrotu! Pewno nie wiesz, że Rudziszki są przystankiem końcowym”.

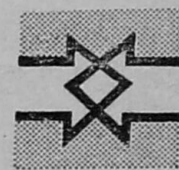
Faktycznie: mimo zapadającego zmroku widać szlaban przegradzający drogę, a obok znak z zakazem ruchu i tablicą pod spodem: „Granica Państwa”.

Fot. prywatna bohaterki

spiećcia

9

KONTAKTY
1987-09-13



W Łomżyńskim powstaje w czynie społeczny dwanaście szkół. Patronuje im PRON w ramach Narodowego Czynu Pomocy Szkole. Próba ustalenia „adresów” owych społecznych inwestycji w biurze RW PRON w Łomży skończyła się odesłaniem: powinien wiedzieć kolega, czyli Kuratorium. Wiedziało, co nie zwalnia od refleksji, że czyn to nadal najbardziej nadużywane słowo.

Swego czasu w Radziłowie rozpoczęto budowę stadionu sportowego. Prywatny wykonawca popartoli, wziął pieniądze i zniknął. Rozgrzebany plac w zupełnej ciszy zarastają tymczasem chaszcze. Szykuje nam się nowy rekord maratonski.

Ostatnimi laty w dniu Święta Zmarłych przed łomżyńskim cmentarzem spotkać można było kwestujących. Cel był szczytny: zebranie środków na restaurację i konserwację cmentarnych zabytków. Przez trzy lata zebranymi kwotami dysponowała Komisja Opieki nad Zabytkami przy ZW PTTK; odnowiła kilka obiektów, opracowała listę dalszych przedsięwzięć. Kiedy zdawało się, iż ta pożyteczna ze wszech miar inicjatywa na dobre już okrzepła, zagrały ambicje jednego ze współkwestujących, który okazał się na tyle aktywny, że doprowadził do zablokowania konta Komisji. W efekcie Komisja zaprzestała działalności, pieniądze marnieją na koncie, a na cmentarzu — zabytki. Nie jest to pierwszy przypadek świadczący o konieczności powołania specjalnego hycła, który zająć się powinien — wyłącznie „psem ogrodnika”.

W maju nie działała w gminie Włzyna (dwadzieścia pięć sołectw) ani jedna placówka kulturalna. Po krytycznym artykule w „Kontaktach” wicewojewoda zobowiązał naczelnika do opracowania planu rozwoju sieci klubów w gminie. Plan, być może, już jest, w sieci natomiast nie zadzierzgnięto na razie ani jednego oczka. Zapewne jest to plan z taką perspektywą, że Janko Muzykant będzie jej musiał poszukać za siedmioma górami, za siedmioma lasami.

Otwarte z niezłą pompą przed paru miesiącami miasteczko ruchu drogowego w Łomży zdążyło już zarosnąć trawą, a po przeróżnych znakach drogowych sterczą gołe słupki. Jedyna tablica, jaka się ostała, wskazuje patrona miasteczka — Wojewódzki Uniwersytet Robotniczy ZSMP w Łomży. Typowo polski „ojciec chrzestny”: wyłącznie do birbancji?

Co jakiś czas młodzi ludzie, zwłaszcza z odległych zakątków województwa, skarżą się, że nie mają gdzie pograć w piłkę, pobiegać, poskakać. Nie ma tego problemu Czyżew, który posiada pełnowymiarową płytę piłkarską, bieżnię, a nawet szatnię z bieżącą wodą. Z maleńkim zastrzeżeniem: bieżnię kompletnie zarosły, a szatnia w najlepszym razie przypomina chlew lub publiczny wychodek. Widać w Czyżewie stawiają na wyczyn.

Nagrodę 500 złotych za najlepszy sygnał tygodnia „To się nadaje do „Spieć” otrzymuje autor informacji o słowo-czynach.





ŁOMŻA

ŁOMŻY

Juliusz Ostrowski (plywa już 22 lata) jest siedemnastym kapitanem w ośmioletniej historii M/S „Łomża”. Najłatwiej przychodzi wymówienie tej nazwy Niemcom. Anglicy za nic nie mogą wymówić „l”. „Łomża” należy do Polskiej Żeglugi Morskiej i plywa w trampingu, toteż nigdy nie wiadomo, skąd nadejdzie zamówienie i w jakim porcie się znajdzie.

Tym przyjemniejsze są pobyty w macierzystym. Właśnie podczas ostatniego odwiedziła załogę M/S „Łomży” dr Teresa Schramm – matka chrzestna statku, oraz przedstawiciele władz miasta i Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej. Marynarze otrzymali w prezencie m.in. trzy rowery, którymi będą dojeżdżać z portów do centrów miast.

Niebawem, jak powiedział przedstawiciel „Transoceanu”, odbędzie się uroczystość podniesienia bandery na następnym patronackim statku – M/S „Kurpie”.

Tekst i zdjęcia Gohora Lönnegzega



K
b
wiada
jakby
minion
cież le
nie jes
mroczn
skich g
łami s
strym
sumy k
i więc
zatoka
starość
pełnych
jednak
kiedyś
wszęd
i wzd
patrzy
młynka
I by
w zam
brało
ka pu
smacz
zielich
wodzie
pakie
i zara
w kole
— D
dza. S
tawia.
go bar
przyje
dziele
torek
Panie,
hen, z
waniec
Dopier
nie, u
stkiego
ka, w
tak? E
Biebr
rzeka.
Z po
samo,
BI
się me
rozległ
scami,
dać. T
go chl
chwala
ciężki
gi pew
walek
ale na
było. W
kadr
lionów
pod G
skończ
chwala
bezimi
nigdy
miejsc
ale pr
trzym
nibr
jednak
— N
plyna
iem do
wowy
brzę p
była
Cha
sunek
a de
dzi.
po ujś

POTV ARZ

(7)

BARBARA MAKOWSKA WITKOWSKA

Wreszcie przyszli. Ci sami, co i wprzód. Zaczęło się od początku to samo. Pytania o braci się wokół wyjazdu z dnia 27 września. Przez dwa tygodnie beczynności przypomniałam sobie więcej drobnych szczegółów, ale przydatność ich, jak i sama sprawa, wydawała mi się bezsensowna.

W końcu nie już nie miałam do powiedzenia. Ileż można opowiadać o rutynowym wyjeździe, trwającym około 15 minut, tym bardziej iż odczuwałam całkowity brak wiary drugiej strony. Teraz już nie dawano mi spokoju, wciąż to samo i to samo, dookoła Wojtek, aż do oglupienia. Przestałam odpowiadać, mimo iż nie miałam nic do ukrywania. Zmieniono mi śledczego, odtąd do końca, przez trzy miesiące, przychodził wciąż ten sam. Tym razem udało mi się. Pan był kulturalny i sensowny. Muszę przyznać, iż z przyjemnością wychodziłam z ciasnej klatki celi na rozmowę z nim.

Wreszcie dostałam paczkę odzieżową. Była ona dla mnie wielką radością, tym bardziej iż mąż — chcąc choć trochę umilić mi pobyt — przelał w niej mnóstwo kosmetyków, kremów, mydeł, past do zębów i szamponów do włosów.

W pawilonie, w którym przebywałam, wolno było mieć przy sobie wiele rzeczy osobistych, niedozwolonych w aresztach kryminalnych. Tak więc prócz pilnika, nożyczek i perfum można było skompletować całą kosmetyczną gotownię. A że — jak mówią — „i kamień na miejscu obrasta”, wychodząc z tego „przemilego miejsca” miałam bagażu bez liku, tym bardziej iż po pewnym czasie pozwolono również rodzinie na przesłanie mi podręczników fachowych, o które prosiłam. Powoli zagospodarowywałam się. Tylko wciąż nie miałam żadnych wiadomości z domu. Listy pisałam — jak pozwalał regulamin — raz w tygodniu, lecz odpowiedzi nie otrzymywałam żadnych. Pouczona przez współtowarzyszkę, pisemkiem wystawionym na talerzu śniadaniowym zapisałam się do wychowawcy oddziału (istnieje taka funkcja) celem wyświetlenia tej sprawy. Aresztowaniu towarzyszą przeróżne dodatkowe sankcje prokuratorskie, np. zakaz widzeń, który mnie obejmował i o którym zostałam poinformowana, może istnieć również zakaz korespondencji. To właśnie chciałam wyjaśnić. Dowiedziałam się, iż zakazu korespondencji nie mam. Listów nie dostaję, bo nikt do mnie nie pisze. „Jak napiszą, to dostanę” — tak mnie poinformowano. Nie wydało mi się to prawdopodobne, ale dalsze wyjaśnianie było niemożliwe i argumentacja moja miałyby się z celem. Tak więc przez 3 miesiące śledztwa byłam całkowicie odcięta od domu i bliskich. Dopiero po jego zakończeniu przyniesiono mi bez słowa komentarza całą paczkę zaległych listów, łącznie z opłatkiem i życzeniami świątecznymi w jednym z nich.

Jedną z udręk były nieustanne rotacje cel. Drzwi otwierały się nagle, w trudnej do przewidzenia porze, i oddziałowy stojąc w nich wskazywał na którąś osobę palcem mówiąc: „Spakujcie się”. Najczęściej była to przeprowadzka do innej celi. Znów kompletowanie swoich drobiazgów, wydziałanie ich z wspólnoty, i nowi ludzie, z którymi od początku trzeba się było zżywać. Przeprowadzki takie były częste. Najdłuższy mój pobyt w jednej celi trwał 2 miesiące. Czasem zdarzało się, iż trafiałam na powrót do osób, z którymi już mieszkalam. Takie spotkania były interesujące, ponieważ mogłyśmy wymienić i uzupełnić swoje spostrzeżenia zebrane w czasie wędrówek i — mimo tak ścisłej izolacji — po dłuższym czasie wiedziało się, kto przebywał w oddziale. Bywały jednak sytuacje bardzo trudne i przygnębiające. Przez około 2 miesiące siedziałam z kobietą, która płakała bez przerwy od rana do rana. Żadne perswazyje i tłumaczenia nie docierały do niej. W końcu przestała się myć i jeść. Sama, przygnębiona, byłam w trudnej sytuacji. Całą siłą woli trzymałam się, aby nie stracić poczucia rzeczywistości, nie pograć się w apatię. Towarzystwo to działało na mnie fatalnie. W końcu zmusiłam ową nieszczęsną, aby zapisała się do lekarza i poprosiła go o lek nasenny. Poszła, ale leku nie otrzymała. Lekarz powiedział jej, że sam, gdyby go tu zamknęli, oka by nie zmrzął. Dowcipniś. Szczęśliwie w niedługim czasie została zabrana. Później, podczas kolejnych rotacji, jej już nie spotkałam, a więc prawdopodobnie udało się jej powrócić do domu.

Tak dzień za drugim, każdy długi w nieskończoność, podobne do siebie jak dwie krople wody. Ze śledztwa nie nie wynikało. Niczego nie mogłam się dowiedzieć. Długo po każdej takiej wizycie analizowałam każde słowo mojego śledczego, starając się dociec do podtekstów. Ale były to równania z dwiema, lub więcej, niewiadomymi, niemożliwe do rozwią-

Kiedys, panie, to była ryba! — To „kiedys” i to „ryba” — pan Stanisław wypowiada z tęsknym przydechem, jakby mówił o czasach dawno minionej, ale prawdziwej przeciwieście legendy. Oczywiście i teraz nie jest jeszcze zupełnie źle. W mrocznych zamuliskach biebrzańskich głębin, pod dennymi zawalami skarp podmywanych bystrym prądem rzeki, żyją jeszcze sumy po dwadzieścia kilogramów i więcej. Trafiają się jeszcze po zatokach szczupaki posiwiałe ze starości, pręgiaty okoń-garbus do pełnych dwóch szpan dorasta, a jednak to już nie to, co było kiedyś.

— Kiedyś, panie, ryba żyła wszędzie — mówi pan Stanisław i wzdycha ciężko. — Płyniesz, patrzysz, aha! Przy burcie woda młynka kręci, jaziuk tam będzie.

I był, a jakże! Wiosenną porą, w zamian za pół worka grochu, brało się z jednego miejsca kielka pudów tej ościstej, ale jakże smacznej ryby. Jesienią, kiedy zielono zaczęło podgniwać w wodzie, szczupak siedzi za szczupakiem. Dasz na haczyk kielbia i zaraz ciągnij, bo drugi czeka w kolejce. A dzisiaj?

— Dzisiaj, panie, rybacka nędza. Synowa zadzwoniła z Wrocławia. „Tato, mówi, faszerowanego bardzo mnie zachciało się, przyjedźmy z Jankiem w niedzielę”. No to ja do łódki, motorok pyr-pyr, i ciągnę blachę. Panie, gdzie tam! W górę, w dół, hen, za Eldorado, aż pod Przerwanie, i bez jednego cupnięcia. Dopiero na zatoczce, przy trzcinie, wziął jeden śledzik, wszystkiego może z sześćdziesiąt deka, wstyd się przyznać. Czemu tak? Bo, panie, to już ta nasza Biebrza dzisiaj jest zupełnie inna rzeka.

Z pozoru wszystko jest tak samo, jak dawniej: koryta wie-

tygodnie podróży spotkaliśmy może ze trzy tubylcze łódki. W trzy lata później było ich pięć razy więcej, pojawiły się też miejskie, z numerami na burtach. A potem ruszyła lawina w postępie niemal geometrycznym. Dzisiaj, kiedy tylko słońce na dłuższą chwilę, Biebrza przypomina ruchliwą aleję. Po bokach zieleń, a środkiem — od wczesnego rana do późnego zmierzchu — pędzą łódzie, ryczą bez tłumikowe silniki, z piosenką na ustach ciągną karawany kajakaarzy, tylko wędkarze przeżywają w ustach siarczyste przekleństwa.

— Ryba, panie, całkiem od tego głupieje — pan Stanisław spluwa szeroko i dźwięcznie. — Komar w gębie upadł — wyjaśnia, po czym wraca do tematu. — Weźmy takie rozmnożenie. W zeszłym roku okoń wcale na tarło nie poszedł. Pod koniec czerwca złapałem kilka, patroszę, i co powiecie, z ikry i mlekiem! A już w marcu powinny być puste, najdalej w kwietniu.

Obserwacje pana Stanisława potwierdza wielu wędkarzy, dodając także inne od siebie. Coś dziwnego zaczyna się dziać z biebrzańską rybą. Coraz częściej, pozornie bez powodu, zapada w jakieś odrętwienie. Może zmienił się skład chemiczny wody, a może takie są właśnie objawy rybiego stresu?

Tych wędkarzy jest już trochę za dużo — pan Stanisław zerka na nasz sprzęt ustawiony przy namiocie. — Chłopy, baby, dzieci, przeważnie z miasta, bo ryba najbardziej teraz miastowych nęci. I patrzcie tylko, jakie mają na nią zasady! Tyczki szklane, żyłka cienka jak pajęczyna, a taka mocna, że koń jej nie zerwie. No i każdy łupie, gdzie tylko może, jak podleci. Ksiądz jeden prawosławny

wróciła do swojej chaty.

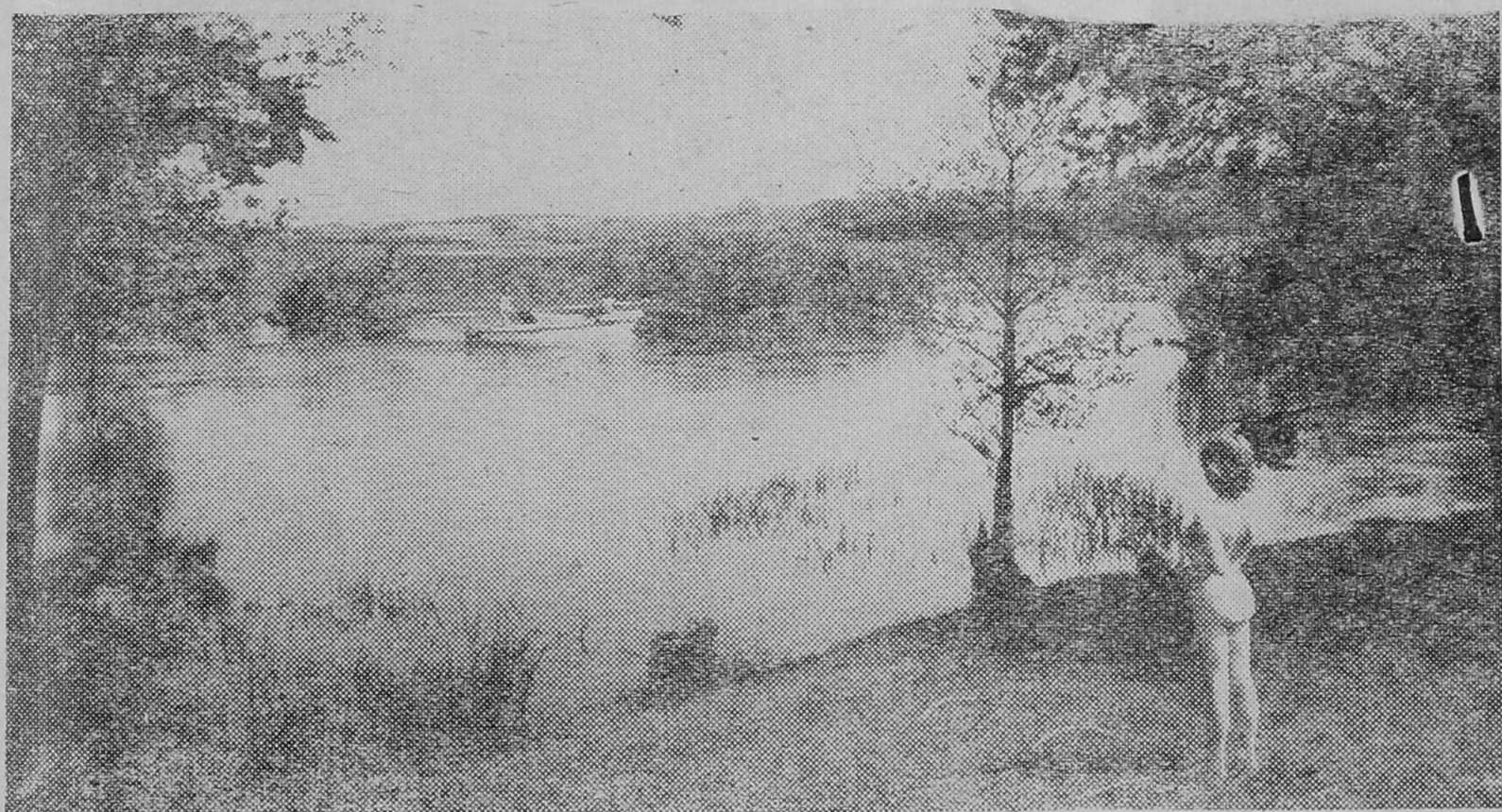
W siedemdziesiątym czwartym widzieliśmy takie taby. Tuż za mostem kolejowym, na środku szeroko rozlanej głębinie, o rannej szarawce jeszcze zaczął splotać się dziki sazan. Nie sazan, sazanisko! Obte wrzeczona metrowej długości, a może nawet dłuższe, z pełnym gracji wdziękiem, majestatycznie wynurzały z wody w rytmie pośrednim między walczykiem i tangiem. Siedzieliśmy na łodzi porażeni pięknem tej niewiarygodnej sceny zabawy ryb najmańdrzejszych ze wszystkich poznanych dotychczas. Dziki karp nazywa się w Anglii fox, a fox to lis, bo taki jest cwany ten skrzelodysznik. Duża sztuka w sieć nie wejść, mowy nie ma, na wędkę się nie da nabrać, więc jeśli kiedyś żyły tu takie sazany, a teraz ich nie ma, znak to nieomyślny, że Biebrza już nie ta sama.

Ptactwo jeszcze jest i bóbr się trzyma — mówi pan Stanisław. — Ale patrzajcie, dzika kaczka podobno w środku Warszawy potrafi legi zakładać. A co do bobra, to i on się do ludzi przyzwyczaił. W Osowcu żeremia na kanałach i zaraz obok jakichś baraków ponastawiali. Prawda, nikt futrzaka nie pytał o zdanie, czy jemu to siedziwo miłe, jednak bober istota rozumna, może on ludziom dużo wybaczyć.

Ale ryba zapewne nie wybacz tego, co z nią teraz ludzie wyprawiają. Sieci, żaki, węcie-rze, ościenie, dynamit — kłusownictwo rozplenilo się jak pokrzywa za przystodolnym straszem. Pletwonurek wali z kuszy tuż obok robala zarzuconego na dno przez wędkarza, sieciarz stawia swoje drygawki pięć metrów dalej. Nikt nie boi się nikogo, nikt nikomu uwagi nie zwraca. Podobno jest jakaś straż wędkarska, ale kto ją kiedy w akcji widział?

— Noooo — pan Stanisław drapie się za uchem — mojego wnuka raz sprawdzali, czy ma

BIEBRZAŃSKA



się meandrycznym węzłem przez rozległą dolinę, tak szeroką miejscami, że końca bagien nie widać. Trzcina, jak dawniej, rośnie go chłopak ukryje. Melioracja, chwata Bogu, nie wyszła. Jakiś ciężki kretyn ją wymyślił, a drugi pewnie zmasakrowałby ten kawałek wspaniałego prauroczyska, ale na szczęście pieniędzy nie było. Władowano wprawdzie kilkadziesiąt tysięcy złotych milonów w faszyzowanie-brzegów pod Gonikądem, ale na tym się skończyło. Dzisiaj wędkarze chwatają sobie nawet ten pomysł bezimiennego debila. Biebrza nigdy nie była rzeką splawną, miejscami jest na to za płytka, ale przy faszynie ładna płoc się trzyma. No więc wszystko jest niby tak, jak dawniej, a jednak rzeka inna.

— Nie chodzi o te smrody, co płyną Elkiem i Rudzkiem Kanalem do koryta — panu Stanisławowi śmierdzi i wszystko, co Biebrze podt uwa, nawet gdyby to była fancuska perfuma marki Chanel do tej wody. Ona, panie, adepta na dzisiaj przez ludzi.

— Pierwszy raz, w sześćdziesiątym piątym badaję, na całej długości od Lipska po ujście narwiańskie przez dwa

BALLADA

koło zwałonej wierzby na leszczą się zasada. To jest, panie, wędkarz zasadny! Łapie dużo, więcej jeszcze dokarmia. Mniej-sze sztuki na powrót wpuszcza do wody, on nie niszczy rybiego stada. A inny? Złowi główniarza na palec i do sadza! Taki najsmaczniejszy, powiada. Albo tarliska! idziesz, patrzysz, woda w rozlewisku kipi, szczupak gody odprawia. Człowieku, obejdz z daleka to miejsce, ono święte dla ciebie. Ale nie daj się namami co do sztuki wychatują, byle tylko dostęp był taki. Po nas chyba ma być koniec świata, prawda?

— Coś wielkiego tupnęło w zakolu, na Jamie. Sum, nie sum, karp nie karp? W świetle księżyca widać kręgi rozchodzące się po wodzie. Po chwili znowu to samo, tylko jakby trochę dalej. Może trzeba było na dno postawić pęczek pija-wek?

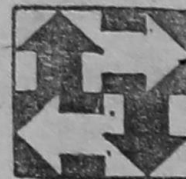
— To wydra — śmieje się pan Stanisław. — Przysła zobaczyć, kto tu do niej w gościnę zawitał; bydle nad wyraz ciekawe światła. Zobaczyła, postraszyła i

kartę wędkarską. Nie miał, to mu wędkę potamali. Czy on taki groźny kłusownik, ten siedmiolatek? Takich łapcie, co niewód ciągną albo rzekę wysadzają. Nie tak dawno jakieś z miasta rzucali dynamit. Ładunek poszedł pod łódkę, łódka pod wodę i jeden z nich nie wypłynął; natura odwet wzięta za draństwo. Ale na mnie już pora, za pięć jedenasta.

Zaskoczyła nas trochę tak dokładna znajomość czasu u człowieka, który nie miał przy sobie zegarka. Pan Stanisław spozstrzegł to i wyjaśnia: — Lenin-grad górą wali o tej porze, korytarz powietrzny prosto nad Biebrzę wypada, nie słyszycie?

Faktycznie, w kumkanie żab i trzask płynących patyków rachitycznego ogniska z wolna jał wdzierać się basowy pomruk odrzutowych silników, dźwięk obcy tu i drażniący jak drzazga pod paznokciem. A może już nie obcy, może Biebrza już się z nim żyła i dlatego teraz jest taka, a nie inna?

WIESŁAW JANICKI



POTWARZ

CIĄG DALSZY ZE STR. 11

zania. Sprawę samego wyjazdu omówiliśmy szybko, reszta — to były luźne rozmowy na różne tematy, nie wnoszące nic do sprawy. Ja wciąż nie wierzyłam, iż jest to powodem mojego aresztowania.

Pod koniec stycznia wizyty mojego śledczego nagle urwały się.

Któregoś dnia wyprowadzano mnie z celi i — w towarzystwie nie widzianego dotąd strażnika — przeprowadzono mnie do innego pawilonu. Po drodze spytałam go, dokąd idziemy. O dziwo odpowiedział: „Do proro-ka.” „Któż to taki?” — spytałam. „Proku-rator”.

W małym pomieszczeniu zastałam kobietę, którą znalazłam już z Pałacu Mostowskich (wiedziałam, iż jest prokuratorem), i miłego, starszego pana, który przedstawił się jako adwokat. Obydwójce nie zdawaliśmy sobie sprawy, iż nasza znajomość będzie ciągnąć się jeszcze cały rok. Kobieta nie odzywała się. Adwokat oświadczył mi, iż śledztwo zostało zakończone i prokurator kieruje sprawę do sądu, z oskarżeniem takim, jak na początku.

Nauczyłam się już nie reagować, choć wydawało mi się to nieprawdopodobną bzdurą. Dostałam wreszcie akta sprawy do ręki i mogłam je przeczytać. Nareszcie, po trzech miesiącach, mogłam dowiedzieć się, o co chodzi.

W miarę czytania ogarniało mnie już nie oburzenie, ale coraz większe, wręcz niepo-mierne zdziwienie. Zeznania pijaka były po prostu nieprawdopodobne, można by je umieścić w zbiorze bajek Wschodu.

Otóż zeznawał on, iż będąc po malej wód-ke spieszył się do swego zakładu gastro-nomicznego, znajdującego się w Górze Kal-warii. Stał na ul. Waryńskiego i zatrzymał-wał jadące samochody. Działo się to, według niego, o godz. 16.00. Nagle zatrzymała się nysa — karetka Pogotowia, wyskoczyło z niej dwóch sanitariuszy w długich, białych fartuchach. Pobili go na ulicy. Na ulicy też zrabowali portfel, w którym było 155 000 złotych w banknotach pięciotysięcznych (tu zrozumiałam radość z efektów rewizji wyko-nanej u mnie w domu), po czym wrzucili go do karetki i ułożyli na noszach. Karetka — według jego relacji — przedzielona była ścianką działową między miejscem kierowcy i lekarza a resztą, w ścianie tej miało znaj-dować się okienko. Sanitariusz, siedząc o-bok niego, dusił go za gardło. Lekarka, któ-ra — jak powiada — siedziała przy kierow-cy, przez owe okienko ciągnęła go za włosy i wypychała do ust proszek usypiający (po-tem, w trakcie rozpraw, proszek zmienił na usypiający tampon). Żadnej innej kobiety przy nim nie było. Po przewiezieniu do szpi-tała głośno krzyczał, iż został okradziony przez Pogotowie i dopiero na usilne jego żądanie lekarz dyżurny wezwał milicję.

Z akt dowiedziałam się również, że moja pielęgniarka, która właśnie siedziała obok przewożonego pijaka, nie jest o nic oskarżo-na i występuje w sprawie jako świadek.

Dalej przewijać się zaczął jakiś portfel, który w czasie rewizji został zakwestionowa-ny w domu kierowcy. Według zeznań kie-rowcy i jego rodziny, była to pamiątka po zmarłym ojcu. Według pijaka — była to jego własność. I wreszcie odczytałam całą listę świadków powołanych przez Prokura-turę, a więc:

1) księgową z mojej kasy zapomogowo-pożyczkowej, która stwierdziła, iż w istocie 24 października 1983 roku kasa wypłaciła mi 40 tysięcy w odcinkach pięciotysięcz-nych;

2) zespół dyżurny w składzie: 2 pielę-gniarki, lekarz i dwaj sanitariusze ze szpi-tała przy Banacha, który pełnił dyżur w dniu przywiezienia pijaka i który zgodnie stwierdził, iż został on przywieziony przed godz. 14.00 w stanie całkowitego upojenia alkoholowego i po 2—3 godzinach wyspania się w Izbie Przyjęć rozpoczął awanturę o okradzenie, wymachując pustym portfelem-portmoneką, którą lekarz dokładnie opisał; w związku z awanturą lekarz wezwał radio-wóz milicyjny;

3) załogę radiowozu, która również po-twierdziła, iż zabrany człowiek nie nie wspo-mniał o Pogotowiu Ratunkowym, lecz twier-dził, iż został okradziony w Izbie Przyjęć Szpitala.

Dalej występowali świadkowie: pracownicy Pogotowia, dyspozytorki, dyrektor, sprzedaw-czyni z delikatesów, u której kupował alko-hole oskarżający i wielu, wielu innych. Każ-de z zeznań powołanych świadków niezbe-dzie wykazywało nierealność sytuacji opisa-nej przez oskarżającego.

BARBARA MAKOWSKA-WITKOWSKA

Copyright by Barbara Makowska-Witkowska

MICK HUCKNALL, wokalista i leader grupy „Simply Red”, zwany przez wszystkich „Rudzielem”, zdobywa coraz więk-szą popularność nie tylko dzięki swojemu — dość ekscentrycznemu — zachowaniu na scenie i oryginalnej czuprynie, ale przede wszystkim dzięki zdolnościom wokalnemu.

Urodził się w 1960 roku w Manchesterze. Na każdym kroku podkreśla swoje irlandzkie po-chodzenie. Zadebiutował w 1977 jako wokalista grupy „The Fran-tic Elevators”. Po dwóch latach zespół, choć nagrał płytę, nie zo-stał zauważony przez publiczność i musiał się rozwiązać, bez sensu bowiem było granie mu-zyki tylko dla siebie.

Rudowłosy Hucknall zrezygno-wał wtedy ze śpiewania, ale w swoim postanowieniu wytrzymał tylko pięć lat. Nie liczył chyba

ply Red”. Pierwszy album zespo-lu ukazał się w 1986 roku i no-sił tytuł „Picture Book”, drugi pojawił się w sklepach w rok

RUDZIELEC

na sukces zakładając, popularną teraz, kapelę „Simply Red”, chciał bowiem śpiewać tylko dla własnej przyjemności. Jednak wybrana z repertuaru „The Va-lentine Brothers” piosenka „Mo-ney's To Tight” przyniosła gru-pie niespodziewany sukces.

Sporym powodzeniem cieszyły się też kolejne nagrania „Sim-

później, opatrzony tytułem „Men and Women”.

Oprócz „Rudzieca” grupę współtworzą: Tim Kellett — trąbka, Fritz McIntyre — instru-menty klawiszowe, Tony Bo-wers — gitara basowa, Chris Jojee — perkusja oraz Sylvan Richardson — gitara.

fan-club

REDAGUJE
KRZYSZTOF KURIANIK

◇ David Crosby poślubił swo-ją wieloletnią przyjaciółkę, Jan Dance.

◇ W połowie sierpnia odbyła się światowa premiera filmu „Hearts Of Fire” z udziałem Bo-ba Dylana w roli starszej i się gwiazdy rocka. U boku piosenka-rza wystąpiła Molly McGuire, która w filmie odtwarza rolę młodzieńczej debiutantki, pod-opiecznej idola.

◇ Jon Moss — były perkusi-sta grupy „Culture Club” i przy-jaciół Boya Georga — utworzył zespół „Heartbeat UK”. W skład formacji wchodzi także: Steven Lambert, Steve Byrd i Mark Heyward Chaplin.

◇ Pomnik Johna Lennona od-słonięty zostanie w Liverpoolu.

◇ „Dziękuję, nie tańczę” — to tytuł nowej płyty Anny Jurksztowicz. Krążek zbiera pochlebne recenzje i uważany jest za jedną z lepszych w ostat-nim czasie polskich płyt z mu-zyką rozrywkową.

◇ Zespół „Police” nie istnieje! Gitarzysta grupy, Andy Sum-mers, zdecydował się na nagra-nie solowej płyty, która ma no-sić tytuł „YZ”.

◇ Patti Smith spodziewa się dziecka i w związku z tym przer-wała pracę nad zapowiadany-mi od lat albumem.

◇ Prince — nie odznaczający się wysokim wzrostem — zdzi-wił się, gdy w jego paszporcie (w odpowiedniej rubryce) zna-la-za się adnotacja: „Karzeł”. Prin-ce ma nową podopieczną. Nazy-wa się Jill Jones. Ciemnoskóry wykonawca skomponował cztery piosenki na debiutancką płytę młodzieńczej wokalistki.

◇ Światową trasę koncertową Davida Bowiego (na zdjęciu), pod nazwą „The Glass Spider Tour”, która rozpoczęła się dwoma koncertami w Rotterdamie pod koniec maja, różnie ocenia-ją krytycy. Jedni twierdzą, iż David jest — jak zwykle — re-welacyjny, śpiewa wspaniale i nadal może się podobać, inni zaś piszą o programie Bowiego jako o występach pozbawionych gustu, na pograniczu kiczu i złego sma-ku estetycznego.

◇ David Steward został szcze-śliwym mężem, poślubiając 17 sierpnia Siobhan Fahey z tria „Banarama”.

◇ 22 i 23 września brytyjska grupa „Pink Floyd” zapowiedzia-ła swoje koncerty na stadionie w Toronto. 120 tysięcy biletów sprzedano w ciągu jednego dnia. Przed koncertami członkowie ze-społu zapowiedzieli ukazanie się nowej płyty, nagranej w ubie-głym roku.

ROCK



SERWIS

sista grupy „The Wailers”. Po-dejrzewa się, iż Carlton został zamordowany przez żonę i jej przyjaciela.

◇ Yogi Horton, ceniony per-kusista amerykański, znany m.in. z nagrań Johna Lennona, Whitney Houston, Dianey Ross, Arethy Franklin i Luthera Van-drossa, wyskoczył 8 czerwca z siedemnastego piętra hotelu „Du-mont Plaza” w Nowym Jorku. Zginął na miejscu.

◇ Ziggy Marley — syn le-gendarnego Boba Marleya — poszedł w ślady swojego słynne-go ojca i postanowił zostać mu-zykiem. Nagrał już płytę „Hey World”, która podoba się nawet



ciężki przypadek

Problemy służby zdrowia zajęły ostatnio sporo miejsca w tygodniku. Skoro służba zdrowia jest chora, trudno, żeby leczyła innych chorych. Przypomina to znaną bajkę o ślepych i kulawym. Trzeba zastosować kurację, tylko kto ma robić zastrzyki?

Oświata kona podczas kolejnych operacji reformatorskich, budownictwo dogorywa z powodu braku ludzi i sprzętu, przemysł spożywczy zżera salmonella. W którą stronę spojrzeć, choroba sieje spustoszenie. Wiadomo jednak, co ma wchodzić w skład życiodajnego zastrzyku: mieszkanie, benzyna, wysokie zarobki. Czyli to, co się od życia każdemu należy. Gorzej, kiedy życie od każdego coś chce.

Jest sprawą oczywistą, że przychodnie lekarskie muszą być czynne do późnych godzin wieczornych, a nie zamykane akurat wtedy, kiedy cała rzesza pacjentów też kończy pracę. Z powodu wczesnego zamykania gabinetów zbyt wiele niepożrebnych wezwań notuje pogotowie. Zupełnie nie trafiają mi do przekonania słowa lek. Kirejczyka, który nie zgadza się z argumentem pracownic poradni przy ul. Wyszyńskiego o braku możliwości zapewnienia dzieciom opieki. Złobki i przedszkola pracują do godz. 15.30, a przykładowo pracownice poczty też mają dzieci i pracują do godz. 21.00. To prawda, ale pani z o-kienka może przenieść się do biura

pracującego krócej. A jakie możliwości zmiany pracy ma lekarz? Student studiów medycznych wie, że w przyszłości pełnienie dyżurów będzie należało do jego statych obowiązków. Czy więc każda kandydatka na lekarza powinna przyrzec, że nigdy nie będzie miała dzieci, gdyż praca zawodowa nie pozwoli jej na odebranie ich z przedszkola?

Kiedyś słyszałam, że oświata leży w gruzach, ponieważ nauczycielami są kobiety, które, gdy stają się matkami, nie mają czasu na dalsze kształcenie. Cóż, wiwat stare, bezdzietne panny. Jedynie wy uratujecie polską gospodarkę.

W wypowiedzi dyrektora szpitala znalazły się też słowa: „służba zdrowia pełni wobec społeczeństwa funkcję służebną”. Oświata, usługi, handel, przemysł — żadna z tych dziedzin nie istnieje sama dla siebie. Wszyscy służą wszystkim. Inaczej brzmią cytowane słowa po przeczytaniu listu p. Szymańskiej („Kontakty” nr 25/87), którą w szpitalu potraktowano jak intruza. Lekarz odpowiadający na skargę pacjentki powtórzył to, o czym wie każdy obywatel: nawał pracy, złe warunki, przepełnienie. Trudno mu nie przyznać racji, ale przecież nie tylko lekarze pracują w złych warunkach. A właśnie od ludzi w białych fartuchach oczekujemy nie tylko recepty na środek farmakologiczny. Czekamy na przyjazny uśmiech, serdeczne słowo. Stan fizyczny czło-

wieka zależy w dużej mierze od psychicznego. Główne posłannictwo służby zdrowia to podawanie, oprócz doustnej tabletki, pigułki do ręki. Prawdziwym lekarzem jest ten, który lejąc organizm potrafi dotrzeć do ludzkiej duszy. Fachową wiedzę można zdobyć podczas studiów, serce dla innych trzeba mieć.

Choroby na ciele służby zdrowia uda się wyleczyć, ale biały personel musi być psychicznie zdrowy. Kto zaś prywatny interes stawia nad interesem pacjenta i dba tylko o własne wygody, nigdy nie będzie lekarzem. Pozostanie facetem od wątroby, płuc i nerek.

GRAZYNA
KULESZA-SZYPULSKA
Łomża

czternastka dla dozorczyń

W ubiegłym roku pracowałam jako dozorczyń przy budowie szkoły w Rutkach i za swoją pracę nie otrzymałam czternastki. Napisałam w tej sprawie dwa pisma do dyrektora naczelnego Przedsiębiorstwa Budowlanego w Łomży, ale nie otrzymałam żadnej odpowiedzi. Po-tem w moim imieniu dzwonił do Przedsiębiorstwa majster i dowiedział się, że nie otrzymam czternastki, bo nie pracowałam cały rok. A prawda jest taka, że umowę o pracę rozwiązałam 18 listopada ubiegłego roku, gdyż musiałam sta-

wieć się na komisję lekarską. Po badaniu okazało się, że nie powinienam pracować. Otrzymałam drugą grupę inwalidzką na stałe i przeszedłam na rentę.

Czuję się pokrzywdzona, uważam, że niesprawiedliwie pozbawiono mnie czternastki, przecież moje zdrowie pogorszyło się od złych warunków pracy. Najpierw pracowałam po 16, a bywało, że i 24 godziny na dobę. Złożyłam zażalenie w Komitecie PZPR i dopiero po interwencji pracowałam po osiem godzin dziennie. Ale życie umilano mi wtedy w inny sposób. Kiedy przyszły duże mrozy, wyłączono mi piec i „wartowałam” w zupełnie zimnej budzie. To wszystko zakończyło się moim trzymiesięcznym pobytom w szpitalu w Choroszczy. Po wyjściu ze szpitala nie byłam już zdolna do pracy i za to nie otrzymałam czternastki.

JANINA BOROWSKA
Rutki Kossaki

OD REDAKCJI: kryteria przydziału „czternastki” określa wewnętrzny regulamin każdego zakładu pracy. Jak nas poinformowała Małgorzata Jakubowska, inspektor do spraw pracowniczych Łomżyńskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego, pani Janina Borowska nie mogła otrzymać premii, gdyż jej przejście na rentę nie było związane ani z wypadkiem przy pracy, ani z chorobą zawodową, a tylko w tych przypadkach dostalaby premię, o czym mówi jeden z punktów regulaminu tego zakładu.

Państwowy Zakład Ubezpieczeń

ODDZIAŁ WOJEWÓDZKI w ŁOMŻY

ogłasza

przetarg nieograniczony

na sprzedaż samochodu marki „Żuk” typ A11 numer silnika 285090, numer podwozia 70267789, cena wywoławcza

351 000 zł

Przetarg odbędzie się 24 września 1987 r. w biurze Oddziału Wojewódzkiego PZU w Łomży, o godz. 10.00.

Wadium w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej należy wpłacić na godzinę przed rozpoczęciem przetargu. W przypadku niedojścia do skutku I przetargu — II przetarg odbędzie się w tym samym dniu o godz. 13.00.

K-338

ogłoszenia drobne

SPRZEDAM grzejniki żeliwne. Białystok, tel. 432-543.

SPRZEDAM działkę 1500 m. Łomża, Piaski 31 B.

ZAMIEŃ nowe M-5 w Łomży na podobne w Olsztynie lub w Hawie, Łomża, Strzelców Kurpiowskich 63.

SPRZEDAM działkę budowlaną i rolną łączną powierzchnią 18 arów. Konarzyce 1, pocz. Łomża.

ZATRUDNIĘ przy wykopkach ziemniaków. Partyzantów 4.

K-3720

Sklepem w Ciemnoszyjach zainteresowali się włamywacze. Przyszli nocą, wykreślił jedną żarówkę, która dawała wątle oświetlenie przy sklepowym terenie, a następnie oderwali deski stanowiące ścianę zaplecza. Zabrali konserwy, papierosy, kartki na mięso, czekoladowe cukierki, a także wody toaletowe, żyletki, 15 par skarpet i inne przedmioty na sumę około 42 tys. zł. Złodzieje najprawdopodobniej biwakowali nad Kanalem Rudzkim i zapewne szybko nim spłynęli na bezpieczną odległość.

Lupem włamywaczy do szepietowskiego Wiejskiego Domu Towarowego padł natomiast sprzęt radiowo-telewizyjny. Weszli oni do sklepu najprostszą metodą: przez wybiecie szyby wystawowej.

Prokurator Rejonowy w Łomży aresztował 45-letniego mieszkańca Szezuczyna, Stanisława Z. Jest on rozwiedziony, lecz ma troje dzieci, o których wychowanie powinien się troszczyć. Tymczasem nie pracuje i nie świeci też dobrym przykładem. W lipcu i sierpniu bił, a nawet groził zabiciem swoich rodziców. Wyganiał ich też z mieszkania, więc zmuszeni byli szukać noclegu gdzieś indziej. Straszyl również pobiciem Mariana G.

Pracować nie lubi także 34-letni zambronianin, Józef B., zamieszkały

przy alei Wojska Polskiego. W mieszkaniu sąsiadki sprzedał pół litra wódki z niewielkim zyskiem, za co Sąd Rejonowy w Zambrowie skazał go na rok ograniczenia wolności. Będzie też musiał odprowadzać 20 godzin miesięcznie na cele publiczne.

Prokurator Rejonowy w Grajewie zatrzymał w areszcie jego rówieśnika, Janusza M., również niepracującego, za to, że zabrał rower Ewie D.

63-letnia rencistka I grupy, Stanisława Ch., od dwóch lat cierpiąca na zaburzenia zespołu psycho-organicznej. Ostatnio leczyła nerwicę lękową w jednej z wrocławskich klinik. Trzeciego dnia po powrocie ze szpitala syn znalazł ją nieżywą w podpiwniczeniu ich budynku mieszkalnego. Starsza pani popełniła samobójstwo.

W pobliżu ul. Ołtarze Gołosze 28-letni Józef T. z Warszawy, jadący żukiem, przy skręcaniu w lewo nie udzielił pierwszeństwa przejazdu fiatowi 125 p. Dwudziestoletni kierowca fiata, Krzysztof W., pochodzący ze wsi Żebry Łaskowiec, i pasażerka odnieśli obrażenia ciała, a samochody uszkodzone zostały na około 300 tys. zł.

Bolesław J. (lat 55) na skrzyżowaniu dróg w Wysokim Maz. uderzył motorowerem w tylne koło sa-

mochodu i doznał urazu głowy oraz wstrząsu mózgu.

Mieszkanka Ostrołęki, która przyjechała do Łomży na zakupy, straciła w sklepie pasmanteryjnym 42 tys. zł wraz z portmonetką i 4 kartkami żywnościowymi.

Z szatni kina „Awangarda” w Wąsosz, podczas zabawy tanecznej, zginęło 6 kurtek męskich wartości około 200 tys. zł. Z ceny kurtek można wnioskować, że były one u-szyte według awangardowej mody.

Przed Kolegium ds. Wykroczeń w Grajewie stanął 46-letni Jan W. oskarżony o szarpanie i znieważanie słowne przechodniów, oraz właściciela zakładu blacharskiego w Białymstoku, Stanisława P., który obrzucił obelgami kierownika kawiarni w Osowcu. Ten ostatni wyczyn został „wyceniony” na 73 tys. zł. Natomiast Sąd Rejonowy w Grajewie rozpatrzył w trybie przyspieszonym przypadek kradzieży aparatu fotograficznego „Zenit” przez 26-letniego doręczyciela UPT. Zaptaci on grzywnę 80 tys. zł.

Kelnerce z łomżyńskiego „Satyra”, Jadwidze Ch., ktoś ukradł torebkę leżącą na parapecie otwartego okna szatni. Było w niej 58 tys. zł i 11 dolarów. Bardziej niż fakt kradzieży dziwić może taka ogromna ufność w uczciwość ludzi.

Kolegium Rejonowe ds. Wykroczeń przy Prezydencie Miasta Łomży orzeczeniem Nr A-635/87 z dnia 16 maja 1987 r. ukarało WAL-DEMARA SOLTYSIAKA, s. Mieczysława, ur. 10.05.1957 r., zam. Piątnica, karą grzywny w wysokości 40 000 zł, zakazem prowadzenia wszelkich pojazdów na okres 3 lat oraz karą dodatkową w postaci podania treści orzeczenia do publicznej wiadomości w tygodniku „Kontakty” na koszt ukaranego za to, że dnia 21 marca 1987 r. o godzinie 14.30 w Piątnicy na ulicy Stawiskowskiej kierował samochodem marki „Fiat 125p” będąc w stanie nietrzeźwym (1,32 prom.) oraz za to, że w dniu 15 kwietnia 1987 r. około godziny 13.00 w Łomży na ul. Kierzkowej kierował samochodem marki „Fiat 125p” będąc w stanie po użyciu alkoholu, w miejscu i czasie jak wyżej kierował samochodem nie mając uprawnień.

K-330

Kolegium ds. Wykroczeń przy Województwie Łomżyńskim utrzymało w mocy orzeczenie Kolegium Rejonowego ds. Wykroczeń przy Prezydencie Miasta Łomży, które ukarało IRENEUSZA CENDROWSKIEGO, s. Feliksa, ur. 28.06.1953 r., zam. Kossaki, karą grzywny w wysokości 35 000 zł z zamianą w razie nieściągalności na 70 dni aresztu, zakazem prowadzenia pojazdów mechanicznych na okres 3 lat oraz karą dodatkową w postaci podania treści orzeczenia do publicznej wiadomości w tygodniku „Kontakty” na koszt ukaranego za to, że w dniu 17 kwietnia 1988 r. o godz. 13.20 w miejscowości Rakowo-Boginie będąc w stanie nietrzeźwym (3,15 prom.) kierował samochodem marki „Żuk”.

K-331

Kolegium Rejonowe ds. Wykroczeń przy Prezydencie Miasta Łomży orzeczeniem nr A-733/87 z dnia 26 czerwca 1987 r. ukarało KRZYSZTOFA ANDRZEJA MUSIKA, s. Edwarda, ur. 22.08.1962 r., zam. Łomża, karą grzywny w wysokości 50 000 zł z zamianą w razie nieściągalności na 50 dni aresztu, zakazem prowadzenia wszelkich pojazdów na okres 3 lat oraz karą dodatkową w postaci podania treści orzeczenia do publicznej wiadomości w tygodniku „Kontakty” na koszt ukaranego za to, że dnia 6 kwietnia 1987 r. około godziny 16.50 w Łomży na ul. Stacha Konwy będąc w stanie nietrzeźwym (2,18 prom.) kierował samochodem marki „Fiat 126p” oraz nie ustąpił pierwszeństwa przejazdu dla samochodu marki „Fiat 125p”, powodując czołowe zderzenie się pojazdów.

K-332

REDAGUJE ZESPÓŁ: Stanisław Zagórski — redaktor naczelny, Stefania Henczelowa — zastępca redaktora naczelnego, Henryk Gała, Wiesław Janicki, Maria Kaczyńska, Alicja Niedźwiecka, Jan Oniszczuk, Stefan Ostrowski, Witold M. Patoka, Gabriela Szczęśna, Władysław Tocki, Danuta Wronszewska, Aleksander Wroniszewski, Stanisław Zieliński. Fotoreporter: Gabor Lőrinczy. Redaktor graficzny: Stanisław Kędzielski. Redaktor techniczny i korekta: Elżbieta Słupska i Jolanta Pawluk. STALE WSPÓŁPRACUJĄ: Alicja Basta, Czesław Brodzicki, Adam Dobroński, Krzysztof Dworniczak, Bronisław Gołębiowski, Wiesław Kołowski, Piotr Kunciewicz, Krzysztof Kurianiuk, Jan Kwasowski, Andrzej Podulka, Marek Polański, Adam J. Socha, Waldemar Szpaliński, Andrzej Tchórzewski, Wojciech Woźniak, Alicja Zagórska. KONCEPCJA GRAFICZNA — Marek Goebel.

ADRES REDAKCJI: 18-400 Łomża, ul. Świerczewskiego 7. Telefony: 42-43, 42-44 (centrala), 40-22 (redaktor naczelny), 57-11 (zastępca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji), 34-95 (administracja) Telex: 85-22-85. Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch” Białostockie Wydawnictwo Prasowe — dyr mgr Romuald Łazarowicz, 15-959 Białystok, ul. Wesołowskiego 1. Druk: Białostockie Zakłady Graficzne — dyr mgr Witalis Sadowski, kierownik Oddziału Gazet i Czasopism — Stanisław Fajst. Zam. 1362/87 r. Nakład 18.200 egz. PL ISSN 0208 6840. Nr indeksu 36 328. Ogłoszenia przyjmują Biuro Reklam i Ogłoszeń Red. Tyg. „Kontakty” 18-400 Łomża, ul. Świerczewskiego 7, tel. 42-43 oraz wszystkie biura ogłoszeń na terenie kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Prenumerata zamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótnów i zmiany tytułów. W-5.

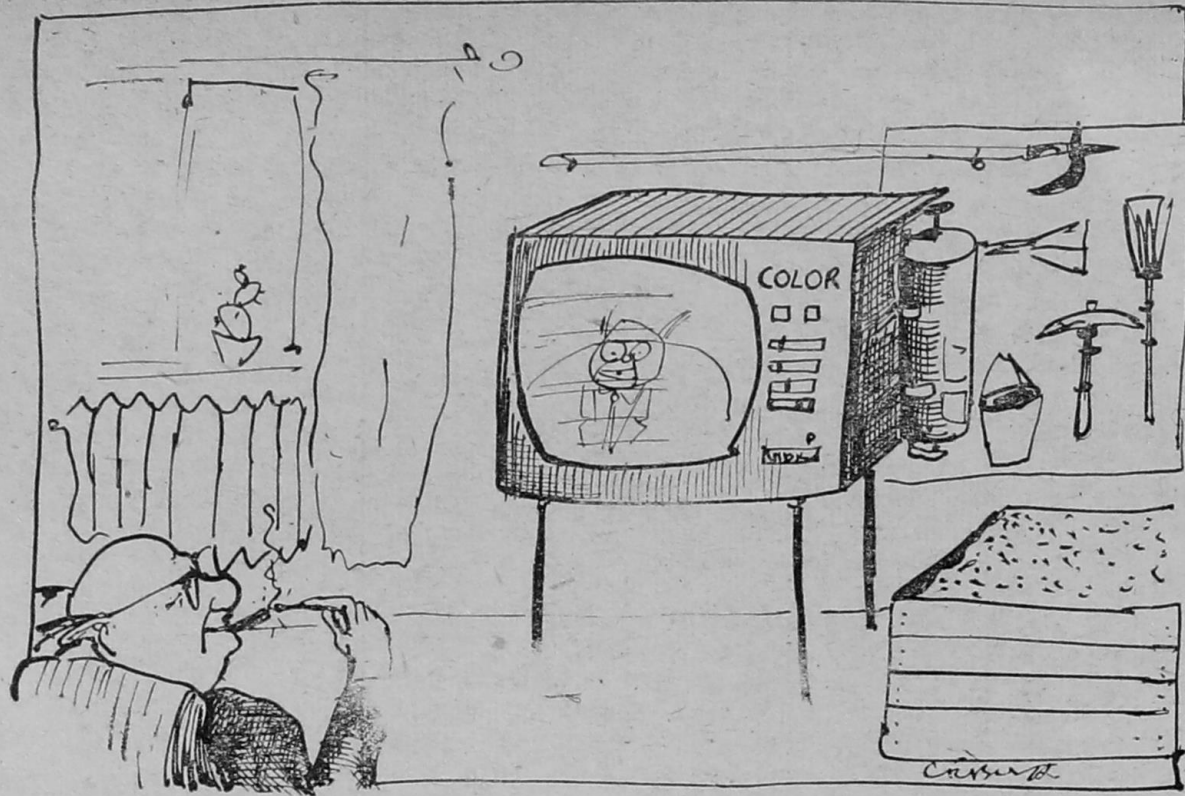
Kontakty

Kontakty

To nie przypadek, że angielski termin „self-made man” nie ma odpowiednika w języku polskim. Oznacza on kogoś, kto zawdzięcza swoją karierę jedynie własnej inteligencji, przedsiębiorczości, sile przebiecia. W naszej tradycji nie zrodził się mit pucybuta, który dzięki sprytowi i pracowitości zostaje milionerem, za to literatura polska aż roi się od cierpiących nieudaczników, którzy pod koniec powieści ponoszą klęskę, a przynajmniej do niczego nie dochodzą. Jedynego poważniejszego wyłomu w tej tradycji próbował dokonać Prus tworząc Wokulskiego. Próbował, bo z naszego punktu widzenia jest to produkt wybrakowany i jakby nie dokończony: ni by bogaty (choć nie widzimy go podczas robienia majątku), a męczy się i snuje niczym romantyczny Konrad. Tak więc w czasie ogólnonarodowej przebudowy nasza młodzież pozostała bez pozytywnego wzorca osobowego. Jeszcze raz okazało się, że literatura i życie to dwa różne światy.

I myślałbym tak do dziś, gdyby Telewizja nie powtórzyła serialu „Kariera Nikodema Dyzmy”. Od razu poznałem. To on! To bohater, którego tak usilnie i bezskutecznie szukałem! Po prawdzie powiedzieć trzeba, że Dołędże wyszedł on nie chcący, mimo woli; pisarz chciał raczej, by współcześni po gogolowskiemu pośmieli się z samych siebie, i chyba swego bohatera nie lubił. Tym samym tropem poszedł reżyser powierzając główną rolę wspinałemu Romanowi Wilhelmowi, który stworzył postać bardzo wyrazistą i... przerysowaną. W powieści Dyzma jest bardziej zagubiony, nieśmiały i — mimo wysiłków autora — sympatyczniejszy. Doskonale nadaje się na współczesnego Wokulskiego, tym razem bez romantyzmoliterackich skrzywień.

Ten głupi prostak? — pyta ktoś. Otóż wcale nie głupi. Trzymajmy się zatem tego, co widzieliśmy na ekranie. Nikodem doskonale zdaje sobie sprawę ze swojej niewiedzy, nieuctwa, ograniczonych możliwości umysłowych. Umie za to świet-



nie słuchać i z powodzeniem wykorzystywać to, co mówią inni. Bezbłędnie wybiera sobie doradców (najpierw Kunickiego, później Krzepickiego), wyciska jak cytryny, wiążąc ich kariery ze swoją. Wie, że bez nich znów będzie niczym. Sam nie pcha się w górę do stanowisk i zaszczytów — w tym sensie pozabawiony jest karierowiczowskiej ambicji. Nie przepracowuje się, bierze udział w życiu towarzyskim stolicy, po mistrzowsku grając ro-

dyzmizm

lę, jaką napisało dlań niezbyt inteligentne otoczenie. Jak na polityka i człowieka interesu — to wcale pokazywał zalet. Oczywiście, nie nie usprawiedliwia nasłaniania płatnych morderców na nieszczęsnego Boczkę. Należy to jednak złożyć na karb niechęci pisarza, który uparł się do reszty pogryźć swego bohatera, przypisując mu nawet zbrodnię.

I wreszcie — najważniejsze: jego praca przynosi korzyść krajowi. Mamy powody przypuszczać, że pożyczka zbożowa to był rzeczywiście doskonały pomysł ratujący

państwo przed kryzysem w rolnictwie. O innej działalności społecznej naszego bohatera nie nie wiemy, niewiele jednak ryzykujemy twierdząc, że na pewno nie szkodził.

Ktoś mógłby zauważyć, iż kariery w stylu Nikodema Dyzmy nie były wcale specjalnością II Rzeczypospolitej i że dziś zdarzają się wcale nie rzadziej. Otóż niezupełnie. Zamierzam bronić niepowtarzalności mego bohatera. Dzisiejsi Dyzmowie, niezależnie od tego, jaki Oxford skończyli, czują się pewni siebie, ba, mają poczucie misji. Od początku rzucają się w wir pracy. Boże, jak oni pracują! Wydają setki rozporządzeń, okólników i decyzji; katują się na wielogodzinnych naradach; chcą o wszystkim wiedzieć, o wszystkim decydować. Wracają do domów późnym wieczorem, studiują materiały; nie mają czasu dla siebie i rodziny. Harują! A wszystko to dla nas. Nic dziwnego, że jak muchy padają na zawaly i wylewy. Pełne ich są sanatoria i oddziały kardiologiczne szpitali. Lecz oni wracają i pną się, pną w górę. A rezultaty? Cóż, każdy widzi.

Niech żyje Nikodem Dyzma, bohater naszych czasów!

TELESFOR

W krainie dinozaurów

Gdyby ktoś zapowiedział nam, że w kilku tomach zmieści streszczenia i omówienia wszystkich znaczących dzieł literatury światowej lub w paru albumach wyda najwybitniejsze osiągnięcia malarstwa, uznalibyśmy go za wariata albo zupełnie ignorantą. Sztuki plastyczne towarzyszą człowiekowi, od kiedy tylko szedł z drzewa, a literatura — od przeszło dwóch tysięcy lat. Artysty pędzla i pióra stworzyli (i tworzą) tyle dzieł wielkich i wspaniałych, że nie sposób o nich wszystkich wiedzieć, nie mówiąc już o utworach średnich i słabych.

Jest jednak pewna gałąź sztuki, która od chwili powstania po dziś mieści się w życiu jednego, choć sędziwego już, człowieka. Chodzi, oczywiście, o kino, które — od pierwszego pokazu braci Lumière — w 1895 r. do współczesnego nam Spielberga — liczy sobie 92 lata. Ta młodość pozwala jeszcze zmieścić w kilku tomach omówienie całego wartościowego dorobku — przynajmniej w dziedzinie klasycznego długometrażowego filmu fabularnego.

Przed sześciu laty ukazał się pierwszy tom „Wehikułu magicznego” — przewodnika po osiągnięciach filmu, obejmującego lata 1913—1949. Już wtedy było to unikalne przedsięwzięcie, tym bardziej że podjęli się tego dwaj Polacy przebywający za granicą: geolog naftowy i doktor chemii. Druga część pojawiła się przed kilkoma tygodniami i dotyczy lat 1950—1959 — okresu chyba najciekawszego w dziejach kina.

Powie ktoś, że filmy trzeba oglądać, a nie czytać o nich. To prawda. Dlatego należy bezwzględnie odradzić zagłębienie do tej książki wszystkim, którzy kina nie kochają i nie znają jego historii, zwłaszcza tym, którzy nie przeżywali zauroczenia DKF-em i którym nie zdarzyło się przesiedzieć kilkuset godzin na filmowych maratonach. Niech nie biorą jej do rąk miłośnicy „Gwiezdnych wojen”, żujący film ja gumę. Ich ta lektura nie zajmie; zresztą niczego z niej nie zrozumieją.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że autorzy zabierają nas w podróż po świecie, którego już nie ma. Z dzisiejszej perspektywy lata pięćdziesiąte to czas wybitnych indywidualności, epoka dinozaurów-obl-rzymów, które zabiła własna wielkość i nieumiejętność (nawet niechęć) przystosowania się do nowych reguł gry. Alfred Hitchcock, Billy Wilder, John Ford, Orson Welles — to były gwiazdy pierwszej wielkości; najlepsze lata przeżywali Kurosawa, Fellini i Bergman. Wówczas to pojawiła się znakomita seria japońska: „Rashomon”, „Siedmiu samurajów”, „Dzieci Hiroszimy”, „Harfa birmańska”. A i my odnotowaliśmy spore sukcesy związane z cyklem obrazów Wajdy, Munka i Kawalerowicza, czyli tzw. szkołą polską.

Każdy, niezależnie od wieku, kto rozpoczął swoją edukację filmową na dziełach z owych lat, wywindował swoje wymagania tak wysoko, że dziś chodzi do kina tylko przez wzgląd na starą zażyłość. Jeden nieudany film Orsona Wellesa ma dlań więcej geniuszu niż całoroczna produkcja niejednej narodowej kinematografii. To z myślą o nim autorzy budowali „Magiczny wehikuł”, aby nie zapomnieli i mogli rozpoznać swój film spośród tych, które nie miało przemąkają się jeszcze po prowincjonalnych kina. W kinach wielkich filmów już nie ma.

JAN ONISZCZUK

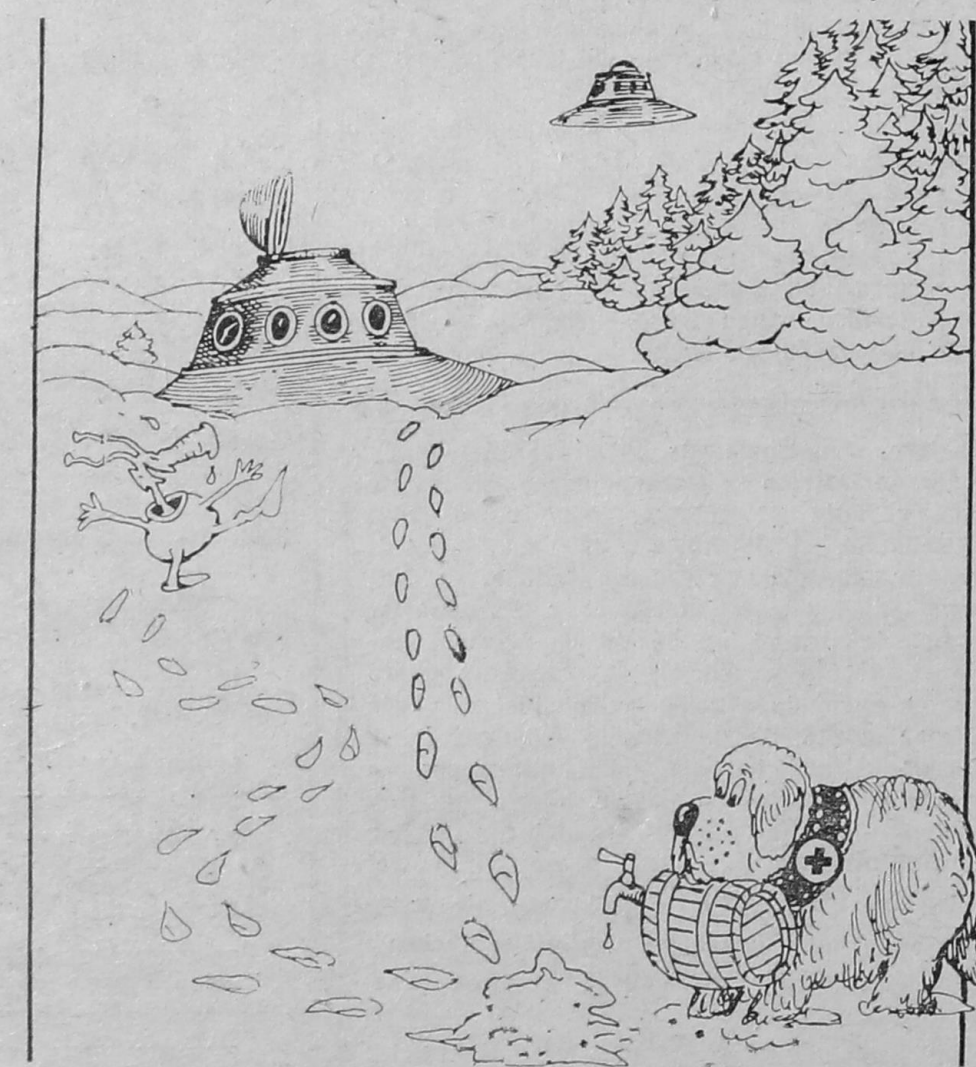
ADAM GRABOWICZ, JACEK KLINOWSKI: „Kino, wehikuł magiczny. Przewodnik osiągnięć filmu fabularnego”. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1987.

ŚWIAT PEŁEN TAJEMNIC

Działo się to 17 maja 1978 roku około godziny 8 rano w tzw. olszynie, nie opodal wsi Emilcin, gmina Opole Lubelskie: 71-letni rolnik Jan Wolski jako pierwszy Polak stanął na pokładzie Niezident-

cina Stanisław Jadczyk na łamach „Sztandaru Ludu”.

Rekonstrukcja wydarzeń wyglądała tak: Wolski wracał tego dnia z Dąbrowy Kuśmińskiej (dokąd pojechał wczesnym rankiem) droga



UFO CZY OGÓRKI?

tyfikowanego. Obiektu Latającego, (UFO). I nikt by chyba do tego faktu nie przywiązywał większej wagi, gdyby nie młody, ale ambitny naukowiec łódzki, mgr Zbigniew Blania, reprezentant Polski w gronie „ufologów”. Mgr Blania — zainteresowany tym przypadkiem — uznał, że relacja rolnika z Emilcina jest autentyczna.

Wypowiedź naukowca zamieścił „Kurier Polski” i tak się zaczęło. Emilcin przeżył prawdziwy najazd dziennikarzy z całego kraju. Wiadomość o wydarzeniu majowym podały agencje światowe: Agence France Presse i „Reuters” — tak przed laty pisał o epizodzie z Emil-

przez las rzadko uczęszczaną, bo obok jest trakt utwardzony. Gdy dojeżdżał do swojego pola porośniętego owsem...

„Zauważyłem — relacjonował później — przed sobą dwóch drobnych „ludzi”, byli bardzo szczupli, niewysocy, jakieś 1,5 m wzrostu. Ubrani byli w kombinezony czarne, wpadające w siwy kolor, gładkie i jednolite. Tylko ręce i twarze mieli odsłonięte, odkryte części ciała miały kolor zielony. Kombinezony nie miały żadnych zamków, guzików itp. Gdy wyjechałem na prostą, zaczęli delikatnie oglądać się na mnie do tyłu i zwalniać krok. Między trzema olchami zatrzymali się zupełnie; gdy



CZWARTEK - 10.09.87

Program 1

16.25. Wakacyjna kronika TDC.
17.15. Teleexpress.
17.30. „Obowiązek pamięci” — woj-
skowy program hist.
17.55. Telepotkania.
18.20. Sonda.
18.50. Dobranoc.
19.30. Dziennik.
21.10. „Teraz” — tygodnik gospodar-
czy.
21.40. „Świat według Sutora” — film
dokumentalny.
22.15. Studio Sport.
22.40. DT — Komentarze.

Program 2

17.30. Magazyn „102”.
18.30. „ABC” — teleturniej.
19.00. „Muppet show”.
19.30. Spotkanie z zespołem „The
Parley of Instruments”.
20.30. Non stop kolor: „Dire Straits
Alchemy”.
21.30. Panorama dnia.
21.45. „Dzień Marii” — węg. film fab.
23.55. Wieczorne wiadomości.

PIĄTEK - 11.09.87

Program 1

16.25. „Opowieści z naszej polanki”.
16.50. Okienko Pankracego.
17.15. Teleexpress.
17.50. Popołudnie z „Pegazem”.
18.30. „Małe kino”.
18.50. Dobranoc.
19.00. Monitor rządowy.
19.30. Dziennik.
20.00. „Nie braliśmy ślubu w cer-
kwi” — radz. film fab.
21.30. Złota 87.
21.50. Program rozrywkowy.
22.40. DT — Komentarze.
23.00. „Dekada zniszczenia” (4).

Program 2

17.30. Dookoła świata.
18.30. Galerie świata: „Picasso” —
hisp. film dok.
19.00. Magazyn „102”.
19.30. Spotkanie z Piotrem Nędzyń-
skim.
20.00. Studio Sport.
20.20. Międzynarodowy Festiwal Pio-
senki — Karlsruhn 87.
21.30. Panorama dnia.
21.45. Filmy Romana Polańskiego:
„Wstręt”.
23.39. Rozmowy intymne: „Ideal ko-
biety”.
24.00. Wieczorne wiadomości.

SOBOTA - 12.09.87

Program 1

9.00. „Drops” i „W 80 dni dookoła
świata z Willym Foggiem”.
10.30. DT — Wiadomości.
10.40. Stare, nowe, najnowsze.
11.40. Wojskowy program publicyst.
12.10. W świecie ciszy.
12.40. Koncert żyć.
13.30. Antologia dramatu powszech-
nego: Wiliam Szekspir — „Król
Henryk IV”.
15.15. „Kram” — magazyn konsu-
menta.
15.55. Wędrowniki dalekie i bliskie:
„Rafael” (2) — wł. film dok.



17.15. Teleexpress.
17.30. Studio Sport.
18.50. Dobranoc.
19.00. Z kamerą wśród zwierząt.
19.30. Dziennik.
20.00. „Przeprawa” — film fab. USA.
21.35. „Czas”.
22.15. Sportowe rytmy tygodnia.
22.35. DT — Wiadomości.
23.05. Kino Nocne: „Ultimatum” —
pol. film sensacyjny.

Program 2

15.00. „5-10-15”.
16.30. „Spectrum”.
17.00. Zbliżenia, czyli to i owo o fil-
mie.
18.30. Święto ulicy Piotrkowskiej.
19.30. Alfa i omega.
20.00. Polska opera współczesna:
Zbigniew Rydzynski — „Manekiny”.
21.30. Panorama dnia.
21.45. „Dalekie pawilony” (2) —
serial ang.
22.40. Mój jazz.
23.10. Wieczorne wiadomości.

NIEDZIELA - 13.09.87

Program 1

9.00. „Telekanek” i film „Silas” (2).
10.30. DT — Wiadomości.
10.35. „Serce smoka” (3) — ang. se-
rial dok.
11.30. Siedem anten.

12.15. „Igraszki z morzem”.
12.45. Kraj za miastem.
13.15. Teatr młodego widza.
14.00. Telepotkania.
15.00. Polityka, politycy.
15.45. „W rytmie disco” (7).
17.15. Teleexpress.
17.30. Studio Sport.
18.20. Antena.
19.00. Wieczorynka.
19.30. Dziennik.
20.00. „Żony Hollywoodu” (2) — se-
rial USA.
20.50. „Pegaz”.
21.40. Sportowa niedziela.
22.15. Klub międzynarodowy.
22.45. DT — Wiadomości.

Program 2

11.30. Lokalny koncert żyć.
12.15. „Jutro poniedziałek”.
12.45. „Dźwięki, rozdźwięki” — pro-
gram muzyczny.
13.30. „Zwierzęta świata” — franc.
serial przyrod.
14.00. Wideoteka.
14.45. Kino Familijne: „O Dorocie,
która tańczyła na linie” — serial
francuski.
15.35. W krainie łowców głów —
„Wśród bagien Nowej Gwinei”.
16.20. Święto ul. Piotrkowskiej (I).
17.20. „Kino-oko”.
18.10. „Paryski sukces” — reportaż.
19.00. Wywiady Ireny Dziedzic.
19.30. Mokotowskie spotkania.
20.00. Studio Sport.
21.00. Święto ul. Piotrkowskiej (II).
21.30. Panorama dnia.
21.45. „Mazarin” — franc. serial bio-
graficzny.
23.15. Wieczorne wiadomości.

PONIEDZIAŁEK - 14.09.87

Program 1

16.25. „Latający Holender”.
16.50. „Wszystkie żagle w górę” (1)
— serial rum.
17.15. Teleexpress.
17.30. „Tajemnice Morza Czerwone-
go” (2) — serial franc.-RFN.
18.50. Dobranoc.
19.30. Dziennik.
20.00. Teatr TV: Henryk Rzewuski
— „Pamiętki Soplicy”.
22.05. „Okragły stół” — program
publicystyczny.
22.40. DT — Komentarze.

Program 2

17.30. Magazyn „102”.
18.30. „Mieć dziecko” — program dla
rodziców.

19.00. „Sponsor” — teleturniej.
19.30. Gwiazdy wielkiego sportu.
20.00. Wieczór bułgarski w TVP.
20.55. „Verdun” — film dok.
21.30. Panorama dnia.
22.05. Biografie: „Goya” (2) — serial
hiszpański.
23.05. Wieczorne wiadomości.

WTOREK - 15.09.87

Program 1

16.25. „Krag” — magazyn harcerzy.
16.50. Dla dzieci: „Cojak”.
17.15. Teleexpress.
17.30. Gazeta rolnicza.
17.50. Leksykon polskiej muzyki roz-
rywkowej.
18.50. Dobranoc.
19.00. „Spory” — program publicy-
styczny.
19.30. Dziennik.
20.00. „Pod wiatr” (11) — serial au-
stralijski.
21.05. „Sztuka walcząca” — program
dokumentalny.
22.05. Sylwetka aktora: Andrzej Sza-
lowski.
22.40. DT — Komentarze.

Program 2

17.30. Magazyn „102”.
18.30. Wielkie bitwy historii: „Bitwa
pod Poitiers” — franc. film dok.
19.30. Konsylium kliniki zdrowego
człowieka.
20.00. „Yamaha przedstawia” — pro-
gram muzyczny.
21.30. Panorama dnia.
21.45. „Wojna i pokój” (3).
23.20. Wieczorne wiadomości.

ŚRODA - 16.09.87

Program 1

16.25. Studio Sport: rozgrywki o pu-
char UEFA.
17.15. Teleexpress.
18.50. Dobranoc.
19.30. Dziennik.
20.00. „Zasieki” — pol. film fab.
21.45. „Kanał piąty” — program
rozrywkowy.
22.40. DT — Komentarze.

Program 2

17.30. Magazyn „102”.
18.30. „Uwaga, dokument”.
20.00. „Nikaragua” — film dok.
20.45. Studio Sport.
21.30. Panorama dnia.
21.45. Kino Studyjne „Dwójki”.
„Grek Zorba”.
0.05. Wieczorne wiadomości.

zobaczcie koniecznie

W sobotę, 12 września, film Jacka
Lee Thompsona — „Przeprawa”. Znako-
mimy reżyser „Dziół Navarony” i tym
razem proponuje nam historię rozgry-
wającą się podczas II wojny światowej.
Baskijski górnik zostaje wynajęty za du-
żo pieniędzy przez francuski ruch oporu
do przeprowadzenia z Francji do Hisz-
panii, przez Pireneje, znanego uczonego
amerykańskiego z wyjątkiem. Akcją
tej usiłuje przeszkodzić gestapo. W ro-
li górala Anthony Quinn, uczonego gra
James Mason, zaś fanatycznego, a zara-
zem szalenie inteligentnego „psa” gestapo
— Malcolm McDowell. Największą sce-
nariusza wynagradza widzowi ogromny
ładunek emocji (pr. I, godz. 20.00).
Również w sobotę, w kinie Noenym,
film Janusza Kidawy — „Ultimatum”.
Scenariusz oparty został na wydarze-
niach z jesieni 1982 roku, kiedy to gru-
pa terrorystów napadła na polską am-
basadę w Bernie i uwięziła jej pra-
cowników. Reżyser odszedł od realiów
tego wydarzenia, przenosząc punkt cięż-
kości na dramaturgię psychologiczną i
zarysowany w tle wątek polityczny.
„Spinoza”, jeden z terrorystów, jest
ideowcem, zaangażowanym w sprawę
wyłącznie z pobudek politycznych (pr. I,
godz. 23.45).



„Meteor” Ciechanowiec: 10-13.09 —
„C.K. Dezertery”, pol. od 1. 18; 15-16.09
— „Ja cię trzymam, ty mnie trzymasz
za brodkę”, franc., od 1. 12.
„Roma” Grabowo: 10-11.09 — „Niewin-
ni święci”, hiszp., od 1. 15; 12-16.09 —
„Nieśmiertelny”, ang., od 1. 15.
„Relax” Gajewo: 10-13.09 — „Critters”,
USA, od 1. 12; 14-16.09 — „Orły Temi-
dy”, USA, od 1. 15.
„Oaza” Jedwabne: 16-17.09 — „Klasz-
tor Shaolin”, chin., od 1. 15.
„Wzros” Kolno: 13-14.09 — „Skok ja-
łowca”, jug., od 1. 15; 16-18.09 — „Ma-
rzenie o nieobecnych”, NRD, od 1. 15.
„Millenium” Łomża: 11-15.09 — „Biały
smok”, pol.-USA, od 1. 12; 13-16.09 —
„Życie wewnętrzne”, pol., od 1. 18.
„Naprzód” Mały Płock: 13-14.09 — „Od-
liczanie”, węg., od 1. 15; 16-17.09 —
„Umarli uczą żywych”, CSRS, od 1. 15.
„Saturn” Stawiski: 10-11.09 — „Prze-
mytnicy”, pol., od 1. 18; 12-13.09 —
„Skarb hrabiego Chamore”, CSRS, od
1. 18; 15-16.09 — „Greystoke: legenda
Tarzana, władcy młp”, ang., od 1. 12.
„Awangarda” Wasosz: 12-13.09 — „Lek-
kie obrażenia ciała”, węg., od 1. 18.
„Wars” Wysokie Mazowieckie: 10-13.09
— „Mistrzini Wu Dang”, chin., od 1. 15;
15-20.09 — „Życie i śmierć w Los Ange-
les”, USA, od 1. 18.
„Kosmos” Zambrów: 9-12.09 — „Orły
Temidy”, USA, od 1. 15; 13-15.09 —
„E.S.D.”, pol., od 1. 12.

Wydawało się, że w meczu ze Star-
tem Działowo ŁKS łatwo zainkasuje
dwa punkty i zdecydowanie poprawi
konto zdobytych bramek. Łomżyńskie
uprawdnie wygrali 2:0 (1:0), ale roz-
czarowali swą nieporadnością. Goście
na tle drużyny ŁKS-u wypadli nieźle
i oni pierwsi mogli zdobyć prowadze-
nie. Jednak pierwszą bramkę strzelił
napastnik ŁKS-u Jurga w 30 min. gry.
Start bronił się, a gospodarze grali
chaotycznie, niecelnie strzelali i tak
też podawali. W drugiej połowie me-
czu, gdy goście opadli z sił, Remez w
65 minucie ustalił wynik meczu na 2:0.
ŁKS miał jeszcze kilka okazji do strze-
lenia gola, lecz na przeszkodzie sta-
wali twardo grający obrońcy Startu.
W 80 minucie Skowronski nie wyko-
rzystał rzutu karnego.

Natomiast w Gajewie Warmia nie
wykorzystała atutu własnego boiska,
oddając jeden punkt gościom — piłka-
rzom Sokola z Gruduska. Wynik meczu
ustalono do przerwy. Już w 3 minucie
pojedynku napastnik gości, wykorzystu-
jąc nieporozumienie obrońców Warmii,
zdobył prowadzenie dla Sokola. Przez
cały pojedynek stroną atakującą była
Warmia. Jednak indolencja strzelecka
gospodarzy (nie trafiali do pustej
bramki) pozwoliła gościom uratować je-
den punkt. Dopiero w 27 minucie, po
rzucie wolnym egzekwowanym przez
Mioduszelewskiego, wyrównującego gola
dla Warmii strzelił głową Grabowski.
Oddając sprawiedliwość należy stwier-
dzić, że goście mieli również kilka do-
godnych sytuacji do strzelenia gola. W
drużynie gospodarzy wyróżnili się Miodusze-
wski, Walejewski i Zamajis. W
naszym sprawozdaniu z ubiegłego ty-
godnia zamieściliśmy nazwisko dosko-
nale spisującego się bramkarza Warmii.
Oczywiście brzmia ono: Walejewski.

Swój kolejny mecz piłkarze Gromu z
Czerwonego Boru rozgrywali w Ilowie,
z tamtejszą Polonią, i wygrali 2:0 (0:0).
Pierwsza połowa meczu to zdecydowa-
na przewaga futbolistów Gromu, nie
potrafili oni jednak udokumentować
tego bramkami. Napastnicy Gromu
uprawdnie dużo strzelali, ale przeważ-
nie niecelnie. W 34 minucie, po doklad-
nej wymianie piłek między Przeciorką
a Mokrzyckim, ten ostatni minimalnie
spudłował — piłka przeszła obok spoje-
nia słupka z poprzeczką. Chwilę potem
Stańczyk zbyt słabym strzałem nie był
w stanie zaskoczyć bramkarza gospo-
darzy. W 40 minucie, po jednej z nie-
licznych akcji gospodarzy, bardzo do-

brze interweniował bramkarz Gromu
Mazur. Druga połowa zaczęła się od
ataków polonistów, ale w 56 minucie
w zamieszaniu podbramkowym — po
podaniu Krawula — pewnym strzałem
popisał się Stańczyk. Od tej chwili
Grom przyspieszył, a w 60 minucie
bliski zdobycia drugiej bramki dla Gromu
był Zalewski, jednak z bliskiej od-
ległości strzelił w słupek. Wynik me-
czu, po szybkiej akcji Skiby, ustalili



precyzyjnym uderzeniem w krótki róg
Nidziółka. Ostatni kwadrans to zdecydo-
wana przewaga Gromu.

Nie powiodła się wyprawa Olimpii do
Przasnysza. Zambrowianie przegrali 1:2
(1:1). W 15 minucie, po faulu Sasino-
wskiego na napastniku gospodarzy, sto-
per Przasnysza pewnie egzekwował rzut
karny i było 1:0. W 39 minucie Wiś-
niewski po solowej akcji zdobył wyrów-
nującego gola dla Olimpii. Gra była
wyrównana, a żadna ze stron nie zdo-
była przewagi. Gdy wydawało się, że
zambrowianie wywiodą z Przasnysza je-
den punkt, w 37 minucie po rzucie
wolnym gospodarze zdobyli zwycięską
bramkę. Remis byłby najsprawiedli-
wszy i odzwierciedlałby to, co działo
się przez 90 minut na boisku. W Olim-
pię wyróżnili się zdobywca bramki Wiś-
niewski.

Pozostałe wyniki klasy okręgowej se-
niorów: Izolacja Maikina — Ostrovia
Ostrów Mazowiecka 1:1, Bug II Wysz-
ków — Błękitni Raciąż 1:1 i Makowian-
ka Maków Mazowiecki — Płońsk 2:1.

1. ŁKS	3	6	5:0
2. Grom	3	5	4:0
3. Błękitni	3	5	5:3
4. Bug II	3	4	4:3
5. Makowianka	3	4	9:5
6. Przasnysz	3	4	6:3
7. Sokół	3	3	7:7
8. Ostrovia	3	3	2:4
9. Warmia	3	2	2:3
10. Płońsk	3	2	1:2
11. Olimpia	3	2	4:6
12. Polonia	3	1	2:4
13. Izolacja	3	1	3:8
14. Start	3	1	3:9

— ★ —

Natomiast w klasie okręgowej junio-
rów padły wyniki: Orzeł — Start 0:0,
Przasnysz — Olimpia 1:5, Izolacja —
Ostrovia 1:3, Warmia — Narew 4:1, Po-
lonia — Mławianka 0:5, Bug — Błękit-
ni 5:0. Natomiast występujący w klasie
międzywojewódzkiej juniorzy ŁKS-u
zremisowali w Łomży z Wigrami Su-
walki 0:0.

— ★ —

W meczu drugiej kolejki Pucharu
Polski padły wyniki: Sokół Sokółki —
Unia Ciechanowiec 2:6, Sparta Szepie-
towo — Ruch Wysokie Mazowieckie 5:0,
Czarni Wąsosz — Orzeł Kolno 9:10 (3:3),
Smolniki Stawiski — Wissa Szczuczyn
2:4 (1:1). Kolejne mecze tej edycji pu-
charu rozegrane zostaną 23 września.

— ★ —

Jeszcze raz przypominamy numery
telefonów, pod którymi oczekujemy na
wyniki meczów: WFS — tel. 41-73, 64-
10 lub redakcja „Kontaktów” — 34-95,
42-43 i 42-44.

Wyrazy żalu i szczerego współczucia

tow. MIECZYSLAWOWI CZERNIAWSKIEMU

I Sekretarzowi KW PZPR w Łomży
z powodu śmierci

SIOSTRY

składają:

Egzekutywa i Sekretariat KW, współpracownicy,
przyjaciele i zespół redakcyjny „Kontaktów”.



Z tygodnia na tydzień

sztuka kochania

WEDŁUG OWIDIUSZA

Zapamiętajcie mą radę, dbałe o wygląd kobiety: „Nigdy w obecności mężczyzny nie róbcie swej toalety”. [...]

Sprawcie, abyśmy sądzili, że jeszcze słodko drzemiecie wówczas, gdy już pracujecie przy porannej toalecie. [...]

Wiele jest rzeczy, o których mężczyznom mówić nie można. O tym dobrze wiedzieć musi każda niewiasta ostrożna.

Nie bronie wam jednak wcale, abyście przy nas czesały bujny włos... Widok ten budzi w sercach miłosne zapęty... [...]

Każda ma jakąś usterkę. Tak już na tym świecie bywa... Każda niech swoją usterkę jak najstaranniej ukrywa. [...]

Jeśli masz nieładne zębki, byłoby śmiertelnym grzechem rozjaśnić uroczą buzię zbyt niedyskretnym

uśmiechem. Nawet i nauka śmiechu w kompetencji jest dziewczęcej. Przydać może do twych wdzięków o jeden wdzięk jeszcze więcej.



Rys. Henri Matisse

Coraz głośniejszym o kolejnym dowodzie wyższości tak zwanej gospodarki planowej nad wolnorynkową. Oto nierozwiązywalny dotąd problem sznurka do snopowiązałek został wreszcie rozwiązany w sposób tak gruntowny i kompleksowy, że magazyny pękają w szwach, a składowanie tego strategicznego niemal produktu zaczyna być droższe od produkcji, więc fabryki trzeba zamykać, ludzi zwalniać z pracy i tak dalej. Jakiś pla-

wieści ponadgminne

nista z Centrali, znużony wieletoletnim niedoplanowywaniem, wziął tym razem i przeplanował, używając zapewne do tego celu komputera IBM z kompatybilnymi dyskami oraz danych statystycznych, jakie setki tysięcy urzędników szczebla podstawowego, pełniące radosną służbę sprawozdawczą, spisują z sufitu.

Aż strach pomyśleć, co będzie za kilka lat. Podobno Centrala wzięła się także ostatnio za papier toaletowy, dzięki czemu tylko patrzeć, a dzieci wypracowania pisać będą na kibelekach, bo z kolei wszelkich zeszytów zabraknie.

KOMENTATOR

PATRON TYGODNIA (BRACIWA ŁAPOWNIKÓW)

ŚW. NAPOLEON

Z PEWEXU

uniwersalna wroźba tygodnia

Okolo środy dostaniesz jakąś wiadomość. Być może pochodzi ona będzie od Twojego kierownika lub nawet dyrektora. Nie lekceważ jej, zwłaszcza jeśli dotyczy konieczności wytestowania Ciebie z zajmowanej dotychczas pracy.

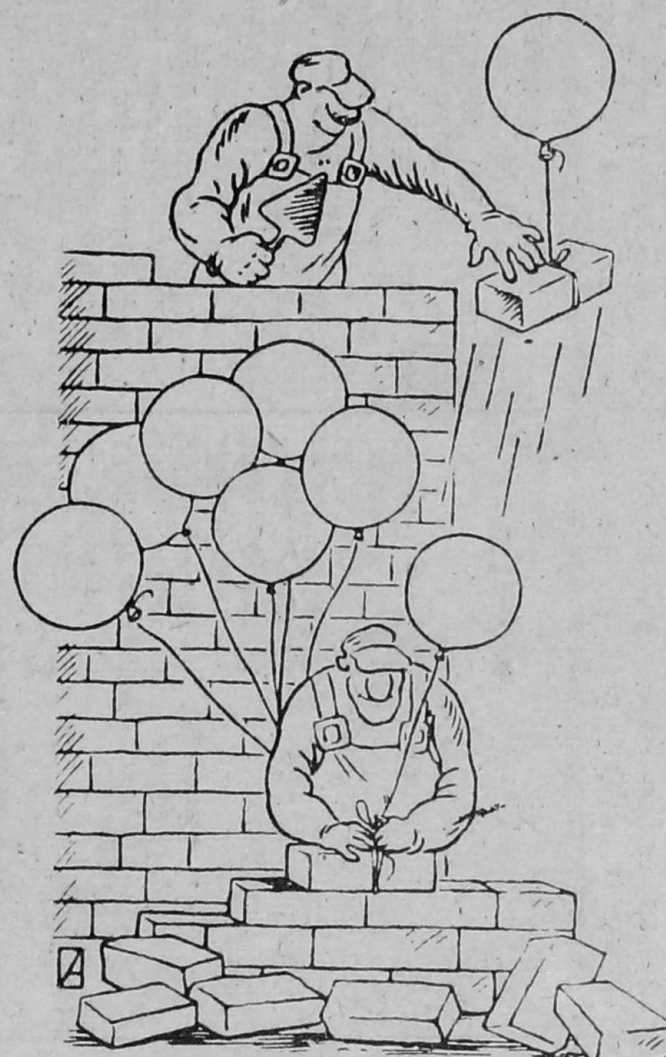
KASSANDER

KONKURSOWA FUTRYNA Z WIERSZYKIEM

KONTAKTOWA LOTERIA

Pustej kieszeni dno ujrzałem
Pustką się mieni, gdzie ja to wydałem?
Pytam sam siebie zdziwiony
Pieniędzy nie mam, nie mam też żony (...)
Cóż za perfumeria
Ta „Kontaktowa” loteria!

Nota biograficzna: patrz „Podredakcyjna ekstrapocztka”.



PRZEDRUKI PRZEDRUKÓW

— Jak pierestrojka, to pierestrojka!

Druk: „Ogoniok”, przedruk: „Kraj Rad”, komentarz własny.

PODREDAKCYJNA EKSTRAPOCZTA

Motto: Dobrze czy źle, byle dużo

SZANOWNA REDAKCJO! List ten przesyłam z nadzieją, że wiersz mój dotychczas do korespondencji zostanie wydrukowany.

W dalszym ciągu listu przesyłam krótką notatkę biograficzną: urodzony 8 lutego 1969 w Łomży. Uczęszczałem do Szkoły Podstawowej numer 5. Następnie ukończyłem Zasadniczą Szkołę Drzewną w Łomży. Obecnie zdałem do Technikum Przemysłu Drzewnego, jednak moja kandyda-

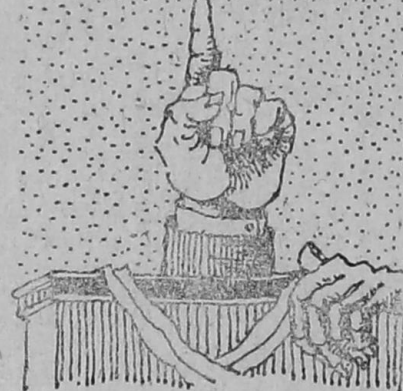
tura została odrzucona. Przyczyną była ograniczona ilość miejsc.

Swoją pasję do pisania wierszy odkryłem po zdaniu do ZSD. W swym dorobku mam jeszcze kilkanaście wierszy i fraszek, które nie były drukowane na łamach czasopism. Chciałbym, aby ukazały się one na łamach „Kontaktów”.

Czekam na pozytywne potraktowanie mojej prośby.

Z szacunkiem,
CZYTELNIK JAROSŁAW BAJKOWSKI
ul. Księcia Janusza I 12/30,
18-400 Łomża

W TYM TEMACIE



z zakładowej tablicy ogłoszeń

„UWAGA GRZYBIARZE W najbliższą wolną sobotę organizujemy WIELKIE GRZYBOBRANIE z okazji 10-lecia istnienia naszego Zakładu Pracy. W programie wiele różnych atrakcji z konkursem na NAJWIĘKSZEGO GRZYBA, gdzie pierwszą nagrodą będzie przydział w przyszłym roku dwutygodniowych wczasów w naszym ośrodku nad jeziorem Karwik. Zorganizowane także zostaną inne konkursy i atrakcje z wieczorkiem przy ognisku włącznie, kiedy to nie będzie działać USTAWA i wszyscy będą się mogli świetnie bawić.

Chętnych na wyjazd prosimy o wpisywanie się na listę u kol. [...] w dziale spraw socjalnych.

Z grzybowym pozdrowieniem!

RADA PRACOWNICZA (podpisy dwa, czytelne)

LUKSUSOWE JEDNO DANIE

homar po polsku

Cztery duże stonogi, wyhodowane w jednej z naszych luksusowych restauracji, podzielić na mniejsze porcje, skropić wodą kolońską „Brutal”, doprawić płynem borygo do smaku. Smażyć na oleju rzepakowym, wysokoerukowym. Podawać w trakcie gardenparty, najlepiej w sośnowym lasku obok miejskiego wysypiska, koniecznie z wykalczkami i na stojąco. GOSPODYN

S. A. WOLNIK

Znany w czasach międzywojennych malarz awangardowy, Stanisław Kropiewnicki, odznaczał się specyficznym humorem i silnym pociąganiem do płatania swoim znajomym dowcipów szczególnego rodzaju.

Pewnego razu zaprosił on liczne grono przyjaciół do swojego domu na ściśle określoną godzinę. Gości witając w progu jakiś nieznamy i gestem ręki — milcząc — zapraszał do środka. Kiedy

wszyscy już się zebraли, do salonu wszedł ten sam mężczyzna, odziany tym razem w biały fartuch, ze strzykawką wypełnioną jakimś płynem i zakomenderował: — Portki zdjąć. Od kogo zaczynamy?

Człowiekiem w białym był wynajęty sanitariusz, któremu gospodarz wcześniej wyjaśnił, że zbierze się u niego grono znanych, chorych na tak zwaną wstydliwą chorobę, którzy wolą się z tym nie afiszować i nie chcą na zastrzyki chodzić do gabinetu lekarza.

1		2		3		4		5		6
				7						
8						9				
				10	11					
12	13		14				15		16	
			17							
18		19					20	21		22
				23		24				
25						26				
				27						
28						29				

POZIOMO: 1) popularna potrawa myśliwska, 4) marzenie brydżysty, 7) margines boiska, 8) uciekinier, 9) ludowy poeta w krajach muzułmańskich, 10) anglosaska jednostka powierzchni gruntów, 12) drzewo liściaste, 15) rybnie jaja, 17) ruch ciała dookoła osi, 18) konfitury, 20) współtwórca telewizyjnej „Łoży”, 23) kapłan w starożytnej Persji, 25) imię znanej aktorki polskiej, 26) ptak drapieżny z rodziny sokołów, 27) dowódca Arki, 28) coś ze słodczy, 29) pianista polski, laureat Konkursu im. Chopina w 1949 roku.

PIONOWO: 1) krawędź, kant, 2) surowiec garncarski, 3) staroskandynawska opo-

wieść, legenda, 4) nasz samochód ciężarowy, 5) słodczy na patyku, 6) wieczne zielone, twarde zarosła przybrzeżnej strefy obszaru śródlądowego, 11) dzwignia z raczką zakładana na wał maszyn, 13) kolor kojarzący się z kłującym kwiatem, 14) gik, 15) pierwiastek chemiczny, 16) brat Lecha i Czecha, 18) przednia część statku, 19) rezultat, wynik, 21) może być botaniczny, 22) grecka litera, 23) autor „Czarodziejskiej góry”, 24) jego stolicą są Ateny. (Gento)

Wśród Czytelników, którzy w ciągu 10 dni nadesłały prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy nagrody książkowe.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 34/87

POZIOMO: skręt, pakt, Ely, atonia, nabór, pies, Spa, ofiara, skok, placz, Piłsko, bak, okaz, kęś, trak, szata. PIONOWO: sens, klaps, rybak, tarok, popiół, Ania, kier, tasak, orszak, „Sport”, potas, abaka, zamęt, Ikar, laba, kasa

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki książki wylosowali: ANDRZEJ KULIGOWSKI (Łomża), JANUSZ LISZEWSKI (Łomża) i DANUTA ŚWIECKA (Boguty).